DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36281

NR 13 (885) 28 czerwca 1987 Cena 20 zł

„Sataniści" na estradzie

str. 12

Lubelskie sylwetki

Fot. Przemysław Ostrzyżek

Twarda szkoła

Rozmowa z prof. Bolesławem Semczukiem

— Wiadomo, że jest pan profesorem zwyczajnym Akademii Medycznej w Lublinie — kierownikiem Kliniki Otolaryngologicznej, wybitnym specjalistą w diagnozowaniu i leczeniu raka krtani. Wiele osób pamięta też niewątpliwie, że w latach 1972—1981 był pan rektorem tej uczelni. Ale chyba mało kto wie, jaki jest pański rodowód, gdzie się to wszystko zaczęło.

— W Rulikówce, w byłym powiecie hrubieszowskim, w roku 1928, kiedy to urodziłem się.

— Na wsi?

— W dawnym czworaku, kupionym jeszcze przez dziadków. Był to obszerny parterowy budynek, posiadający dwa ganki, dwa pokoje i kuchnię. Rodzice wydali na świat siedmioro dzieci, z których pięcioro żyje: Alfreda, Antoni, Henryk, Marian i ja.

— Pasał pan krowy, doglądał inwentarza?

— Oczywiście, ale ojciec, Franciszek, był światłym człowiekiem, działał w ruchu ludowym i postanowił dać nam to, czego sam nie mógł osiągnąć: wykształcenie. Już w czasie okupacji niemieckiej zacząłem uczęszczać na tajne komplety gimnazjalne, które prowadził w Hrubieszowie, szesnaście kilometrów od Rulikówki, profesor Kłębukowski. Wykładał wszystko, łącznie z greką i łaciną, dzięki czemu i dziś chętnie sięgam po klasykę.

Dokończenie na str. 8

Jeszcze o katastrofie samolotu „Ił-62 M"

MARTWI I ŻYWA

Alicja Niedźwiecka

Sen

Kiedy Bogumiła i Wacław Śliwowscy brali ślub i odchodzili od ołtarza, zgasła świeca. Przyrzekli sobie wtedy, że gdy będą mieć dziecko, a jedno z nich umrze, drugie pozostanie samotne do końca życia. Urodził się Boguś (we wrześniu skończy 16 lat). Pani Bogumiła mówi: — Zostanę sama.

Trzy lata temu skończyli dom budować, mają samochód, a tuż przed wyjazdem pan Wacław jeszcze wyasfaltował alejki w ogrodzie. Potrafił zresztą zrobić wszystko.

— Po co mu była potrzebna ta Ameryka? — Zastanawia się pani Śliwowska. — Taka pustka. Taki żal. Taka rozpacz.

Wyruszyli wcześnie rano. Po drodze wysiedli na chwilę. Bogdan zrobił ojcu zdjęcie na skraju lasu. Szedł uśmiechnięty, nie przeczuwając, że to jego ostatnia fotografia w życiu. Jechali w radosnym nastroju. Dopiero na tarasie, gdy samolot ruszał, p. Bogumiła się rozpłakała: — Nikt mi nie wróci tej rozłąki. — Pierwszy raz rozstawali się z mężem na dłużej.

Stała w „Warsie" po koszulę dla syna. — Czy wiecie, że rozbił się samolot do Nowego Jorku? — spytała jakaś kobieta. — Skąd pani wie? — Mówili w radiu. A ktoś od pani poleciał? — Mąż. — Wrócili na lotnisko: to nie może być prawda. W „Informacji" uzyskali bezlitosne potwierdzenie. Szok. Bogdan chciał natychmiast jechać na miejsce katastrofy, rozpaczał ogromnie. Lekarz dał mu relanium. — Nie, nie chcę, dopóki nie zobaczę tego miejsca! — krzyczał. Usłyszał to jakiś dziennikarz, zabrał do swego wozu. Legitymacja: przejechali trzy kordony wojska i milicji. Naraz — kapitan — stop, dalej nie wolno. Udawali, że wracają — ktoś z obstawy się zlitował nad nimi, wskazał ścieżkę. Pobiegli lasem. Zobaczyli tylko kawałki blachy, wyłamane drzewa, dym, opary i strażaków lejących wodę. Kordon zagrodził im dalszą drogę.

Kiedy wrócili do domu i pani Bogumiła otworzyła szafę, przypomniała sobie tamten sen męża. To było chyba w styczniu. — Śniło mu się, że umarł i że sam się ubierał do trumny. „Tego czarnego nie wezmę, bo będę w nim jeszcze chodził. Brązowe? Raczej nie. Najlepiej to w krateczkę" — opowiadał i sam się dziwił: dlaczego w krateczkę?

O śnie zapomnieli. Gdy jechał, zapytała go: — Które ubranie włożysz? — A on na to: — Ciemnego nie, bo wrócę i będę w nim jeszcze chodził. Brązowego też raczej nie. Najlepiej to w krateczkę. — Masz dwie beżowe koszule. Pasują do brązowego. — Brązowe nie. Najlepiej w krateczkę.

I w tym pojechał.

Bilet na 25 czerwca

— Czekałam na cud! — matka Darka Odoleckiego kryje twarz w dłoniach. Na stole duży portret chłopca w niebieskim ubraniu — uśmiechnięta twarz obramowana kirem.

W przeddzień lotu, 8 maja, skończył 25 lat, świętowali to w rodzinnym gronie. Darek był już spakowany, szczęśliwy. Poprzedni semestr zaliczył na lepiej niż dobrze (III rok Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach).

Na lotnisku powiedział: — Nie martw się, tato, wrócę za dziesięć miesięcy. Trzymaj się mamusiu. — Pomachał im ręką, uśmiechnięty wsiadał do autobusu. Spokojni wrócili do domu. Nie włączyli radia ani telewizora. Było cicho, słonecznie. Naraz telefon (ten dźwięk będzie słyszał do końca życia), ojciec Darka podniósł słuchawkę: — Jakim samolotem Darek odleciał? — dopytywał się znajomy. — Nie wiem, jak ci powiedzieć, ale powiedzieć trzeba. Ten samolot... — Jakby świat się im zawalił. — Może ktoś ocalał? Może ON? — Nie łudź się, wszyscy zginęli. — Oswajały ją z tą myślą najbliższe koleżanki. Ale matka Darka nie wierzyła.

— Czekałam na cud. Wieczorem czytano listę ofiar. Długo bez niego. Aż wreszcie: „Dariusz Odolecki urodzony 8 maja 1962 roku".

W przedszkolu, w szkole, w różnych przedstawieniach, zawsze był królem. Stoją puchary — nagrody za wygrane mecze tenisowe. Śpiewał, grał na gitarze. — Niczego od nas nie żądał. Pracował podczas wakacji. Ostatnio za tak zarobione pieniądze kupił sobie gitarę.

Stoi ta gitara w pokrowcu za drzwiami.

Miał już bilet do Nowego Jorku na dzień 25 czerwca. Zmienił plany, przyspieszył swój wyjazd. Sam podjął tę decyzję.

Pusta tablica

— Przed nami w domu była wesoła. Nie pokazywała, co ją gnębi — wspomina 25-letni Tadeusz Rudnicki swoją matkę.

Turosl to spora wieś wśród zieleni. Przy drodze zadbane obejście matki i syna. To tutaj jeszcze trzy dni temu pani Zofia gotowała obiad w lśniącej kuchni. Tu spała. Na ścianie obraz z napisem: „Wspieraj nas w potrzebie, proszących Ciebie Błogosławiona Trójco". W pokoju wisi portret ślubny państwa Rudnickich — nie mogli wówczas przeczuwać, że jednaka im śmierć pisana. Tragiczna. Wychowali pięcioro dzieci (dwie córki, trzech synów), są już wnuki. Najmłodszy Tadeusz pozostał na 9-hektarowym gospodarstwie. Danuta siedem lat temu wyjechała do Stanów Zjednoczonych. To do niej wybrała się matka, ubrana w czarny płaszcz i wiśniową sukienkę: uśmiechnięta twarz wśród szpakowatych włosów — taką zapamiętał ją Tadeusz.

Dokończenie na str. 9

W hostelu

Adam Fiala

PANIENKI trochę rozczarowane. Nazlatywały się tu darmowym jumbo dżetem (rząd australijski zafundował bilety) jak kolorowe ptaki — konkurencja dla miejscowych papug i kukubar (bardzo wesołych, z dużymi ibami i zaraźliwym, długotrwałym chichotem, takich żywych maszynek typu „człowiek śmiechu"). Owszem, kolorów im nie brakowało, mimo że z szarości, tam, gdzie „rzeczywistość skrzeczy". I tlenione, tradycyjne, z pianką na głowie, jak te lody od melbourneńskiego Włocha, i krótko cięte, ze szpilkulcami, i na ruszałkę, i na koczkodana, duże, małe, chude jak charty, i z ciałem; słowem, wybieraj tylko zgłodniały samcze Słowianki.

Dokończenie na str. 11

z notatnika

14 VI. Przewodniczący Rady Państwa, gen. armii Wojciech Jaruzelski, powiedział na lotnisku warszawskim żegnając papieża:

„Pielgrzymka Jana Pawła II była doniosłym wydarzeniem. Głosił swoje przesłanie biskup Rzymu, patriarcha Zachodu. Głosił je papież Polak. Dokonał się duszpasterski siew. O jego wadze i znaczeniu zadecyduje przede wszystkim plon — o ile przysporzy Polsce autorytetu, przyczyni się do porozumienia narodowego, lepszej pracy i moralności na co dzień. Pragniemy tego szczerze. [...] Wasza Świątobliwość wkrótce pożegna ojczyznę. Zabierze ze sobą jej obraz w sercu, lecz zabrać przecież nie może jej realnych problemów. Naród zostaje tu, między Bugiem a Odrą. Sam musi uporać się z wyzwaniami. O przyszłości Polski, o jej rzeczywistej pozycji w Europie i świecie, rozstrzygnie zwartość wewnętrzna i siła gospodarcza, postęp cywilizacyjny, naukowy i kulturalny. Rozstrzygnie jedność obywatelskich praw i obowiązków".

Nic dodać, nic ująć.

Dopisuję 20 czerwca po lekturze kilku pism.

„Tak i Nie" (Katowice): „Dzień wizyty papieża w Lublinie jest dniem wolnym od pracy [...]. Pielgrzymi zjeżdżają i schodzą się już od nocy [...]. Pięćdziesięcioletni Marian Rybak, na przykład, trzeci już dzień dźwiga ciężki obraz Matki Boskiej. Idzie w dzień, w nocy śpi po stodołach i schroniskach kościelnych. Je to, czym go częstują. Doszedł na miejsce o trzeciej rano i teraz ma akurat ochotę spać a nie rozmawiać. [...] Kiedy miesiąc temu w lubelskim MPO ogłoszono nabór chętnych do pilnowania polowych latryn, zaraz zgłosiło się kilkunastu chętnych. Na przykład pan Tadzio (bez nazwisk, bo ludzie by się śmieli). Przyszedł tu z całą rodziną. Obejrzy papieża i jeszcze do tego zarobi. Siedzi więc pan Tadzio pod latryną, od potrzebujących bierze po pięć złotych i mówi im od siebie: Szczęść Boże..."

„Przegląd Katolicki" (Warszawa): „Czy spowszedniało nam to papieskie pielgrzymowanie? Czy może jesteśmy tak zmęczeni codziennością, że nie potrafimy wyrwać się z niej nawet teraz? Dlaczego tyle okien i balkonów naszych domów jest niemych? Ale są i takie okna, całe domy, wielkie bloki strojne w chorągiewki, girlandy, ołtarzyki, portrety. Są, są... Ale tamte, puste, bolą".

Natomiast w tygodniku **„Sprawy i Ludzie"** (Wrocław) Julian Bartosz opisuje, jak to w sobotę i niedzielę przebywał w Bonn i Kolonii.

Bonn, 13 czerwca: „Z różnych punktów zbornych, na które autobusami przybyli ludzie z całej Republiki Federalnej, ciągnęli pod czerwonymi, zielonymi i fioletowymi sztandarami (barwy Pax Christi) demonstranci — śpiewając i skandując. Szli niosąc transparenty nawołujące do solidarności — weseli i skupieni zarazem. [...] Wszędzie, na każdym skrzyżowaniu, policjanci, w górze krążące helikoptery, w bocznych uliczkach zielone wozy. Im bliżej Hofgarten, tym gęściej od tych sił prewencyjnych. My, nadchodzący od strony placu Berty von Suttner, musieliśmy sforsować ustawione płoty i stalowe przegrody... Zebrało się ponad sto tysięcy ludzi. [...] Mówcy [...] przemawiali krótko, rzeczowo, ale i emocjonalnie o jednym tylko: złomować rakiety i to bez żadnych wyjątków".

Kolonia, 14 czerwca: „O godzinie 21 miałem wziąć udział w telewizyjnej dyskusji w III programie WDR. Program [...] miał być poświęcony wizycie Jana Pawła II w Polsce. Czas programu — trzy kwadranse. Warszawski korespondent WDR, redaktor Reudiger Hoffmann, przywiózł tego dnia kasety dwóch filmów. Jedna zawierała wybrane fragmenty sprawozdań z wydarzeń wizyty, druga miała — jak mówiono — przedstawić ewolucję stosunków między państwem a Kościołem w Polsce.

Krótko przed programem zdołałem jeszcze obejrzeć przywieziony materiał. Było gorzej, niż myślałem. [...] Można i nawet trzeba mieć własny stosunek do wszystkiego, także do takiego politycznego wydarzenia, jakim była wizyta Karola Wojtyły w ojczyźnie, ale — przy całej profesjonalnej tendencyjności — nie można przecież obracać faktów w ich przeciwieństwo. Siedem dni wizyty, które przecież nawet przez długie telewizyjne i radiowe transmisje w naszych środkach komunikowania nie zostały w pełni ogarnięte — tu zostały zredukowane do wymiarów czarnej wręcz karykatury. Owszem, była mowa o tym, że obie strony — państwo i Kościół — wspólnie zmierzają do porozumienia się Polaków, do budowy platformy konsolidacji i solidnej pracy, ale potem idą »akty terroru« ze strony organów państwa: samochody milicyjne, milicja, milicja, epizod krakowski, potem pochód na zakończenie mszy na Zaspie, wozy, milicja, pomnik przy stoczni, transparenty z dawnymi znakami, ręce w churchillowskim geście i okolice kościoła pod wezwaniem Stanisława Kostki. Film »historyczny« — to był kalejdoskop ignorancji i zafałszowań z ostatniego 40-lecia: ośmieszony Pstrowski, dezinterpretacja Października. Porozumienie Gdańskie jako swoisty przejaw Nowego Testamentu, rolnicza fundacja w charakterze planu zbawienia Polski i socjalizmu [...].

Pomyślałem, wybrałem do skomentowania kilka sekwencji, albowiem »bogactwo« ćwierćfaktów i półprawd było tak wielkie, że trzeba się było skoncentrować na niektórych z nich. Wiedziałem, że lekko mieć nie będę, jeśli chcę, aby przynajmniej kilka rzeczy telewidz zachodnioniemiecki ujrzał we właściwym świetle.

Studio. Prócz Hoffmanna i mnie jest jeszcze moderator, czyli prowadzący program Klaus Muenchenhagen [...]. Zaczyna się program. I tu dla mnie zaskoczenie. Prócz obejrzanego materiału leci »z ostatniej chwili« 3—4-minutowy »hit« z niedzielno-porannej modlitwy Jana Pawła II u grobu księdza Popiełuszki. I natychmiast skierowane do mnie pytanie: Czy taka chwila goi czy też rozrywa stare rany? Pytanie było całkiem dobre. W momencie, gdy cała Polska, wszystkie odpowiedzialne siły polityczne i społeczne szukają na gruncie wszelakich realiów — wywodziłem — porozumienia i jedności, to czyniąc z Żoliborza »moment otwarcia« dla oceny papieskiej wizyty w kraju ojczystym, wyświadczacie Polakom tym jątrzeniem niedźwiedzią przysługę. Jest to całkowicie sprzeczne z intencjami zarówno strony państwowej, jak i kościelnej — podkreśliłem. I gdy dalej mówiłem, że każdy fanatyzm jest złem i że papież modlił się też na Majdanku — moderator wpadł mi w słowo, twierdząc, że o tym możemy podyskutować później lub z innej okazji.

Po pierwszej sekwencji filmu zadałem pytanie o kryteria zestawienia takiego materiału. 7 dni w 8 minut pełne milicji, transparentów i rąk wyciągniętych. Słowo „solidarność" całkowicie wyrwane z kontekstu papieskich homilii. Obaj byli nieco skonfundowani. Hoffmann uznał, że nie było podczas wizyty tak »schlimm« — tak źle. Powiedział, że dziennikarze zachodni oczekiwali nawet niemal powszechnie »mocniejszych wrażeń« (moje wplecione pytanie: Czy jak w Chile? — pozostało dla nich nie usłyszane). Przyznał też, że mają własną optykę i — dość eufemistycznie — że pokazuje się to, co chce się widzieć.

I tak się toczyła dyskusja, w której obaj panowie usiłowali uchodzić za znawców spraw polskich [...], ja zaś próbowałem tłumaczyć najbardziej elementarne sprawy naszej trudnej rzeczywistości, i to w duchu formuły Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego i naszej partyjnej »triady«: w sprawach ideologicznych spór, w sprawach politycznych współistnienie, w sprawach obywatelskich współdziałanie między państwem a Kościołem. Wątku Majdanka nie podjęli.

Po tym programie zaczął się film kryminalny. Jeszcze jeden".

Obszernie zacytowałem tekst Juliana Bartosza, bo ilustruje on na żywym przykładzie to, co krytykował na swej konferencji prasowej min. Jerzy Urban („Pobyt w Polsce papieża spowodował sześciodniową wojnę propagandową Zachodu przeciw Polsce [...] Manipulowano papieżem, manipulowano obrazem telewizyjnym, manipulowano prawdą"). W danym wypadku Bartosz mógł jeszcze to i owo wyprostowywać, ale jedna jaskółka wiosny przecież nie czyni.

No cóż, dziennikarze z zachodnich (tych wrogich nam) środków masowego przekazu tak tańczyli w czasie papieskiej pielgrzymki, jak im nakazano. Tęn, kto płaci, ma prawo wymagać...

Wracam jeszcze do „gorzkich żalów" reportera „Przeglądu Katolickiego". Na moim osiedlu portretów papieża, flag watykańskich, papierowych hostii i papierowych krzyży (niektóre w kształcie kotwic) było dość sporo. Tu i ówdzie wieczorami paliły się lampki choinkowe. Osobiście nie lubię tego typu demonstrowania uczuć, nigdy w oknie, przy żadnej okazji, niczego nie wywieszam To, o czym myślę, mogę powiedzieć, lub napisać Chciałbym więc zwrócić uwagę niektórym wiernym, że niezbyt budujący to widok, kiedy z balkonu zwisa bielizna, a na tę (różnego rodzaju) bieliznę spogląda zza szyby Dostojny Gość.

Może to jeszcze nie profanacja, ale brak kultury z pewnością!

19 VI. „Zawsze bardziej lubiłem ludzi rozśmieszać niż smucić" — powiedział Tytus Wilski w rozmowie z Mirosławem Dereckim, a „Kamena" wydrukowała te słowa w tegorocznym siódmym numerze z 5 kwietnia.

Minęło dwa i pół miesiąca, tylko tyle, i dotarła do nas wieść o prawie nagłej śmierci Tytusa. Zrobiło się smutno, bardzo smutno...

Tytus, jak sam mówił o sobie we wspomnianej rozmowie, był przede wszystkim aktorem, choć zajmował się również reżyserowaniem i scenografią. „Wszelka działalność artystyczna — stwierdził — jest nie tylko przyjemnością, ale także posłannictwem. Niezależnie od tego, j a k ą formę teatru się uprawia, scena ma wychowywać społeczeństwo pod względem estetycznym i również etycznym".

Dla mnie Tytus przede wszystkim pozostanie w pamięci jako ten, który reanimował kabaret „Czart". Tak sobie myślę: może by Lublin ufundował w przyszłości doroczną nagrodę im. Tytusa Wilskiego dla najlepszej imprezy kabaretowej w naszym regionie? Albo dla najlepszego wykonawcy? Albo dla najdowcipniejszego tekstu?

Gdy już mowa o odejściach, ostatecznych odejściach... 10 czerwca zmarł w Lublinie wywodzący się z naszego miasta, bardzo zdolny dziennikarz młodego pokolenia, zatrudniony w tygodniku studenckim „Itd" — Tomasz Niemierski. Przed kilkoma laty drukowaliśmy w „Kamenie" jeden z jego tekstów...

A 17 czerwca śmierć zabrała Józefa Kiełba, dziennikarza z Koszalina, posła na Sejm, długoletniego działacza SDP i SD PRL.

Tytus Wilski też był dziennikarzem (chociaż nie zatrudnionym na etacie), nasze szeregi nieco się więc przerzedziły. Średnia wieku dziennikarskiego wynosi ponoć 54 lata (czy 56?) Wilski przeżył tych lat 66, Niemierski — 28, Kiełb — 55. Tu średnia jest więc jeszcze gorsza: niecałe pół wieku...

20 VI. Prof. dr Jan Kurowicki napisał był w 22 n-rze tygodnika pt. „Sprawy i Ludzie" (Wrocław):

„Gdzie więc szukać dzisiejszych konserwatystów? [...] Wyraża się on [...] — co najbardziej rzuca się w oczy — w akademiowo-rocznicowym rozmydlaniu prawd socjalizmu naukowego w sieć pusto brzmiących frazesów. W ceremoniach i rytuałach. W hierarchiach i czołobitności względem nich. W wierze w neutralność wszechwładzy różnorakich aparatów, w dzieleniu nawet własnych towarzyszy na »bardziej« i »mniej« swoich, bez rzeczywistego wartościowania ideowego i politycznego.

Kryje się za tym wszystkim to, co Lenin określał mianem «chełpliwego funkcjonariusza», którego wiedza i ideologia to wiedza kamerdynerska, sprawnie obsługująca indywidualne interesy. Dlatego, jak mawiał Lenin, funkcjonariusz ów praktyczną pracę zastąpi »zatwierdzaniem«, »produkowaniem tez«, będzie gotowy »w każdej minucie dnia i nocy napisać tezy, wysunąć hasła, uraczyć nas czystymi abstrakcjami«. Pozostaje więc on bez reszty we władzy tych stosunków, które partia w procesie socjalistycznych przekształceń musi zmienić. To, co spostrzeże, będzie zawsze istniało samo dla siebie. Bez związków z całością społeczną. I nie dlatego, by ich dostrzec nie umiał, lecz z tej przyczyny że wszelkie rozumienie więzi zostaje tu przymglone przez interesy własne i układ, w jaki został uwikłany".

Tygodnik „Fakty" (Bydgoszcz) ów fragment artykułu Kurowickiego przedrukował, dedykując go „kilku bydgoskim »chełpliwym funkcjonariuszom«, szczególnie błaznującym wokół »Faktów« — pod rozwagę".

Wrocław dzieli od Bydgoszczy (samochodem) 268 km, a od Lublina — 421 km, ale Lublin w przeciwieństwie do Bydgoszczy leży mniej więcej na tym samym równoleżniku, co Wrocław. Może dlatego nie musimy słów Kurowickiego przenosić na grunt lubelski i nimi się podpierać? Jeśli zajdzie potrzeba, sami takich „chełpliwych funkcjonariuszy" znajdziemy. Ze swej strony pragnę jednak zauważyć, że błaznującymi wokół jakiegokolwiek pisma nie zawsze muszą być jedynie „chełpliwi funkcjonariusze". O kim więc myślę? Zainteresowani wiedzą z całą pewnością!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

● 7 czerwca obchodzono Święto Ludowe. Uroczystości związane z tym świętem odbyły się w całym naszym regionie. Natomiast miejscem centralnych uroczystości był w tym roku Zamość. Organizatorzy pokazali interesujące widowisko historyczno-patriotyczne „Pójdzie żywa Polska". Zorganizowano też wiele imprez artystycznych, sportowych i rekreacyjnych.

● W Łęcznej już po raz drugi odbył się „Łęczyński jarmark humoru i satyry". Wzięły w niej udział m.in.: kabarety „Dzyndz" z Puław, „Krent" z Urzędowa, „Rzep" z Krzczonowa, kabaret PJ oraz Teatr 88 z Zespołu Szkół Mechaniczno-Energetycznych w Lublinie. Teatr Dialog z Zespołu Szkół Gastronomicznych w Lublinie, Parodia Maxima z Poniatowej, Wiesław Tupaczewski z zespołem „17 Mgnień Wiosny".

● W Filharmonii Lubelskiej odbył się koncert symfoniczno-oratoryjny (kompozycje Mozarta) w wykonaniu orkiestry PFL pod dyrekcją R. Komorowskiego i chóru Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Szeligowskiego.

● W Zamościu rozstrzygnięto ogłoszony przez WDK konkurs fotograficzny „Zamość '86". I nagrodę przyznano Andrzejowi Bąkowi, II Stanisławowi Orłowskiemu, III Mariuszowi Siegieńczukowi.

● Niezwykle ciekawe przedstawienie zorganizowało Lubelskie Studio Teatralne. Alma Joray i Bogdan Mizerski zaprezentowali lubelskiej publiczności wspólnie opracowany spektakl „Baśń — Dialog na Kontrabas i Postać Tancerki".

● W galerii przy ul. Grodzkiej 22/34 prezentują pejzaże, portrety, kwiaty malowane olejem Izabela Malicka i Wanda Brajerska. W Lubelskim Domu Kultury można było zapoznać się z propozycjami plastycznymi warszawiaków: Pawła Chełmeckiego i Macieja Wilskiego. W holu biurowca FSC zorganizowano wystawę prac członków Klubu Plastyka. Natomiast w WDK przedstawiono wystawę dorobku rękodzielniczego ludzi w jesieni życia pn. „Złote ręce seniora".

● W Siostrzytowie k. Trawnik odbyła się kolejna Biesiada Tradycyjnego Tańca Ludowego. pokazano: tańce zespołów i par, widowisko obrzędowe.

● 11 czerwca rozpoczęły się XX Puławskie Spotkania Lalkarzy. Cieszy, że ta ciekawa imureza nabiera rozmachu. W roku bieżącym uczestniczy w niej 400 osób z 18 zespołów, w tym jeden zagraniczny — teatrzyk z Domu Pioniera w Berlinie. Spotkania odbywają się pod hasłem „Teatr Lalek — teatrem dla wszystkich".

● Już po raz piętnasty w Kraśniku zorganizowano Festiwal Pieśni i Piosenki o Ojczyźnie. W festiwalu m.in. uczestniczyły zespoły wokalno-instrumentalne z Warszawy, Mysłowic, Kętrzyna, Stalowej Woli, Puław, Lublina: chóry: „Surma", „Cantio Polonica" Akademicki ATK z Warszawy, Akademii Medycznej i Akademii Rolniczej z Lublina, Zespołu Szkół Muzycznych z Rzeszowa i chór z Debreczyna (Węgry); orkiestra symfoniczna z Kalisza oraz 12 solistów. W sumie w bogatym programie wzięło udział około 600 osób.

● „Kurier Polski" z 17 czerwca informuje o powstaniu Panoramy Bitwy pod Kockiem. Powołano społeczny komitet budowy, którego ambicją jest, by rotunda wraz z projektem wielkiego malowidła była gotowa na 50 rocznicę bitwy, czyli jesienią 1989 roku

● Zaprosili nas: Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. C. K. Norwida w Lublinie na doroczną wystawę prac uczniów; Wydział Kultury i Sztuki UW, Muzeum Okręgowe, WDK i Oddział Lubelsko-Chełmski Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie na pokonkursową wystawę — tkanina i haft ludowy (wystawę w salach Muzeum Okręgowego w Lublinie otwarto 19 czerwca); Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia", Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS i Towarzystwo „Polonia" w Lublinie, Klinika Chorób Wewnętrznych AM w Lublinie na konferencję naukową „Ochrona zdrowia i środowiska człowieka w warunkach uprzemysłowienia" (konferencja odbyła się w siedzibie Lubelskiego Towarzystwa Naukowego w Lublinie w dniach 21—24 czerwca); Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, Muzeum Regionalne w Puławach na wystawę ze zbiorów Czartoryskich Muzeum Narodowego w Krakowie „Pochodnie w mroku" (Wystawa jest poświęcona największym twórcom polskiej kultury i sztuki XIX wieku: Adamowi Mickiewiczowi, Juliuszowi Słowackiemu, Fryderykowi Chopinowi, Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, Henrykowi Sienkiewiczowi i Janowi Matejce; zorganizowano ją w Świątyni Sybilli w Puławach).

(kop)

KONFRONTACJE SEZONU '86

Od „Misji" do „Domu nad rzeką"

Tomasz Kłys

NIE najgorsze — mimo wszystko — były tegoroczne Konfrontacje. Zaprezentowana została bowiem pełna skala, zarówno w sferze artystycznych wartości, jak i sposobów myślenia twórców. Znaczy to wprawdzie, że był w programie film zawstydzająco zły pod względem warsztatu i prymitywny myślowo (na szczęście tylko jeden), ale i to, że na przeciwległym końcu tej skali znalazły się trzy filmy wybitne, z których jeden („Misja" Rolanda Joffé) jest bezdyskusyjnym arcydziełem, wywołującym w widzu wstrząs doskonałością formy, która integruje zmysłowe piękno obrazu i dźwięku z doniosłością przekazu.

Szerzej o tym filmie na koniec, ale trzeba powiedzieć, iż także nasz rodzimy „Magnat" i japoński „Gonza-wojownik" to filmy niemal doskonałe, mogące być ozdobą najpoważniejszej imprezy (filmy Joffé i Shinody już zdobyły cenne trofea, oby nie zaprzepaszczono szans Bajona!).

Z czystym sumieniem polecić też można, gdy już znajdą się w rozpowszechnianiu, ciekawy radziecki „Temat" Panfiłowa czy błyskotliwą zabawę w reżyserii Martina Scorsese „Po godzinach", a z zastrzeżeniem — jugosłowiański film „Piękne jest życie", najdrastyczniejszy i najbardziej dyskusyjny obraz imprezy. Pozostałe sześć z dwunastu filmów odradzałbym. Niestety, przeboje sezonu '86 — obsypane nagrodami (jak „Pożegnanie z Afryką" czy „Mona Lisa"), bądź uświetnione nazwiskiem twórcy (jak filmy Felliniego, Menzla, Klimowa) — po prostu zawiodły.

Na samym dole skali, w punkcie bliskim zeru, znajduje się oczywiste nieporozumienie w zestawie — „Dom nad rzeką" w reż. Rolanda Gräfa (NRD). Film zawstydza tendencyjnością tezy, której nosicielami są bezbarwne, schematyczne postacie, żenuje anachroniczną teatralnością realizacji. Podział na Niemców świadomych istoty hitleryzmu oraz Niemców czynnie sprzymierzonych ze złem pokrywa się w tym obrazie z podziałem społecznym, co jest rażącym uproszczeniem: zepsuty moralnie, przesiąknięty dekadencją ród przemysłowców jest przeciwstawiony robotniczej rodzinie, wprawdzie biernej, lecz pod wpływem cierpienia (śmierć jednego z mężczyzn na froncie, kalectwo drugiego) nie tylko uświadomionej, ale skierowanej na drogę czynnego oporu. Konkluzja, jaką z tego żałosnego filmu musi wyciągnąć widz: gdyby nie pocierpieli, to by nie wiedzieli i mimo faszyzmu dalej byli zadowoleni z siebie — wydaje się przez twórców niezamierzona...

Myślowe i warsztatowe ubóstwo „Domu nad rzeką" ujawnia się zwłaszcza na tle polskiego filmu o Niemcach — „Magnata" Filipa Bajona. Rzecz traktuje o arystokratycznym rodzie von Teussów (w rzeczywistości — von Plessów) władającym Pszczyną, która w wyniku powstań śląskich znalazła się w Rzeczypospolitej. Historia rodu obejmuje w filmie newralgiczny okres 1905—1939 — apogeum polsko-niemieckich antagonizmów na Śląsku, okres politycznych wyborów wśród samych Niemców. I okazuje się, że w tym narodowościowym i politycznym kotle podziały nie były takie proste i jednoznaczne, a dobro nie tak łatwo odróżnialne od zła. Z trzech synów von Teussa jeden, o zaskakującym w pruskim rodzie imieniu Bolko, to niemal „po polsku" rogata dusza. Zapłaconą przezeń ceną za słowiańskie imię i beztroską fantazję będzie śmierć z rąk gestapo. Inny jest los jego brata Franzla, który, ogarnięty ambicją przywrócenia splendoru rodowi Teussów, usiłuje związać się z NSDAP. Wreszcie stary książę — cóż za wspaniała to postać! Owszem — kapitalista-wyzyskiwacz polskiego ludu, ale zakochany do szaleństwa w tej ziemi, w lasach, w polowaniach. Owszem, Niemiec i protestant, ale raczej sam spolonizowany niż bezwzględny germanizator Polaków. Owszem — utracjusz i dekadent, który musi odejść z historycznej sceny, ale jednocześnie człowiek, który wie, że niektóre wybory są przekroczeniem dopuszczalnych granic. Gdy dowie się o powiązaniach Franzla z hitleryzmem, ubezwłasnowolni go i wyrazi zgodę na zarządzanie majątkiem przez władze polskie. Obiektywizm w ukazaniu stosunków polsko-niemieckich, i w samym portrecie niemieckiego arystokraty, zasługuje na podziw i uznanie. A poza wszystkim — jest to wielka ekranowa epika, jakiej od czasów bodaj „Ziemi obiecanej" nie było w naszym kinie. Znakomite kreacje aktorskie (Nowicki, Linda, Łukaszewicz), nieprawdopodobny rozmach inscenizacyjny, wreszcie fenomenalna strona wizualna (zdjęcia Piotra Sobocińskiego) — przesądzają o randze artystycznej filmu ważnego już ze względu na temat.

„Magnat" wyłamywał się z konfrontacyjnej formuły prezentacji filmów sezonu '86, gdyż jest utworem przedpremierowym, natomiast dwa filmy radzieckie — z tej prostej przyczyny, że kilka lat „półkowały" Myślę, że umieszczenie tych obrazów w programie było uzasadnione (choćby z racji nazwisk ich twórców). Co prawda „Pożegnanie" (1981) Elema Klimowa jest filmem niedobrym, bo tam, gdzie istnieje dramat wysiedlanej wioski, która ma ulec zatopieniu, nie może być dlań przeciwwagi we frazesach. A Klimow tragedii ludzi tracących rodzinną ziemię, groby bliskich i zmuszonych do innego sposobu życia (w blokach zamiast w chatach i bez panteistycznego kontaktu z naturą) przeciwstawia bezduszne racje „nowego" — konieczność industrializacji itd. „Nowe" uosabia mdła postać urzędowego nadzorcy ewakuacji. Wraz z tą postacią (wyraźnie prezentowaną z patosem i respektem, bynajmniej nie krytycznie) pojawia się w filmie fałszywa nuta.

Drugi radziecki „półkownik", „Temat" Gleba Panfiłowa, jest rzeczywiście utworem ciekawym i odważnym, zważywszy rok powstania (1979). I chociaż wiele w nim niedomówień czy przemilczeń, klimat moralnej szczerości wydaje się naprawdę przekonujący. Jest to opowieść o pewnym uznanym (czyżby za produkcyjniaki i panegiryki w latach 50-tych?) pisarzu, odkrywającym nagle własną nicość: jako artysty przede wszystkim, ale także jako człowieka, który zaprzedał się za poklask i zaszczyty. Wstrząs wywołuje w nim poznanie cichej, skromnej, inteligentnej kobiety, kustoszki prowincjonalnego muzeum, która krzewi, jak umie, wiedzę o „biednym geniuszu", zapomnianym pisarzu, a pośrednio — o wierności sobie i czystości moralnej wśród brudu otoczenia. Czy spotkanie to odmieni radykalnie pisarza, czy przynajmniej odnalazł nowy, heroiczny temat twórczości? W dwuznacznym zakończeniu reżyser uchyla się od odpowiedzi.

Krytyczny obraz rzeczywistości społecznej znajduje się w jugosłowiańskim filmie-metaforze „Piękne jest życie" w reż. Boro Draskovicia. Wbrew tytułowi ukazuje on świat, w którym żyć można tylko plugawie, albo zginąć, jak giną jedyni dwaj nie całkiem źli bohaterowie filmu. Ostentacyjnie metaforyczna jest sytuacja wyjściowa — z powodu buntu maszynisty pociąg staje w szczerym polu, a pasażerowie na łeb, na szyję pakują się do pobliskiej knajpy przeczekać do odjazdu. Od dawna już wiemy, że takie zgromadzenia — pasażerów, knajpianych gości — mogą stanowić reprezentację społeczeństwa w miniaturze (vide „Wesele", „Pociąg"). Ale film Draskovicia jest niekonsekwentny. Od celnych, zjadliwych obserwacji o satyrycznym zacięciu przechodzi przez groteskę do tragedii: jedyny sprawiedliwy zmasakruje brzuchatą elitę i na koniec sam sobie palnie w łeb. Za dużo tego jak na jeden film — całkowite i naiwne dramaturgicznie odrealnienie dość prawdopodobnego punktu wyjścia, przemiana postaci z pełnokrwistych ludzi w jednowymiarowe symbole (i to najgorszych rzeczy: zła, sprzedajności, pazerności, tchórzostwa, podłości, przemocy). Dzięki dobremu aktorstwu film ogląda się nieźle, ale po zastanowieniu widz musi go odrzucić. Niczemu nie posłużył swoisty turpizm reżysera, wyraźnie delektującego się nie tylko brzydotą ludzi i świata, ale wręcz obscenicznością niektórych sytuacji. Z pewnością jest to film bardzo kontrowersyjny, musi wywołać gwałtowną reakcję.

Żadnych emocji nie budzą natomiast filmy dwóch eks-mistrzów: Menzla i Felliniego. Błaha, rozpadająca się na kilka luźno powiązanych wątków komedyjka Menzla „Wsi moja, sielska, anielska" wzbudza tylko tęsknotę za śmieszno-smutną poezją „Pociągów pod specjalnym nadzorem" sprzed dwudziestu lat. A „Ginger i Fred" to najsłabszy film Felliniego. W warstwie pierwszej miała być to satyra na współczesną kulturę masową, ogłupiającą ludzi ogromem niezbyt gustownych reklam na ulicy i tzw. „homogenizacją" w programie TV, gdzie treści „wielkiej" kultury, wymieszane z trywialnością, ulegają degradacji. Felliniemu krytyka ta dostarcza okazji do stworzenia parodiującego bzdurny program telewizyjny własnego show, w którym znajdą się tradycyjnie dziwne projekcje jego wyobraźni: karły, piersiste babsztyle, gigantyczna atrapa mielonki w hali dworca. Ale ten show Felliniego nie służy satyrze. Zamiast ubolewać nad poziomem współczesnej kultury, porównujemy nowe monstra z dawnymi, stwierdzając regres: w dowcipie, w rozmachu, w zjadliwości reżysera. Drugi aspekt filmu to celowy „powrót do przeszłości". Fellini, jakby świadomy martwoty swych ostatnich filmów, zaangażował do ról pary bohaterów Massinę i Mastroianniego, współtwórców jego niegdysiejszych sukcesów. Gelsomina-Cabiria i Marcello-Guido po raz pierwszy w duecie — miała to być chyba próba wskrzeszenia szlachetnego sentymentalizmu i naiwnej, choć przejmującej moralistyki „La strady" czy „Słodkiego życia". Ale nie udała się. Film nie wzrusza, a Massina i Mastroianni wydają się bardziej anachroniczni jako aktorzy niż jako zagrane przez nich postacie podstarzałych tancerzy.

W znakomitej formie jest natomiast niezbyt u nas znany mistrz kina japońskiego, Masahiro Shinoda. Jego „Gonza-wojownik" w sposób niemal doskonały wyraża specyfikę tej wschodniej kultury, polegającą na niewyobrażalnej dla Europejczyków konwencjonalizacji, podporządkowaniu życia jednostki i życia społecznego rygorowi form. Forma, element zewnętrzny, tłumiący indywidualną ekspresję, wyraża akceptację przez indywiduum zawartego w niej obrazu ładu kosmicznego i społecznego. Błąd w sztuce przestrzegania form, uchybienie konwencji rodzi dramat bohaterów tego filmu. Nieważne, że faktycznie zdrada małżeńska nie miała miejsca. Znalezione razem szarfy nieżonatego mężczyzny i mężatki są formalną oznaką zdrady, a delikwenci odczują rzeczywiste wyrzuty sumienia z powodu tej jedynie niezręczności. Status szlachcica i samuraja jest formą, której nie można uchybić. Toteż rzekomo zdradzony mąż musi dokonać rytualnej zemsty. „Świat wyszedł z formy" — jak w „Hamlecie" — i trzeba, choćby za cenę krwi, z powrotem go w nią wepchnąć.... Ten szekspirowski dramat zachwyca głównie właśnie formalną urodą. Przepięknie skomponowane kadry, w których kamera jakby kontemplowała barwny, pełen niepokojącej urody świat, znakomicie wyrażają estetyczno-formalną postawę Japończyków wobec życia i śmierci.

Na koniec o filmach anglosaskich, jak zwykle najtłumniej gromadzących publiczność. Największym frekwencyjnym „hitem" stało się, zupełnie niezasłużenie, „Pożegnanie z Afryką" Sydneya Pollacka. Zadziałała chyba fama Oscarów (coraz bardziej dewaluowanych takimi werdyktami) i gwiazdorska obsada w oprawie malowniczej sawanny. Wykreowanie tego nudnego hollywoodzkiego kiczu na wydarzenie artystyczne jest zupełnym nieporozumieniem. Jako melodramat nie wzrusza, bo historia brzydkiej baronowej, jej perwersyjnego męża i przystojnego myśliwego, jest zbyt statycznie i rozwlekle opowiedziana oraz pozbawiona fabularnego „centrum". Zaś jako „dramat społeczny", czyli rzecz o konfliktach tubylców i kolonizatorów, pozostaje na zbyt żenującym poziomie myślowym (tubylcy przypominają Sienkiewiczowskiego Kalego, zaś szlachetność bohaterki i wspaniałomyślność pani gubernatorowej przynoszą nadzieję na rozwikłanie skomplikowanego problemu). Film Pollacka zaleca się do widza stroną wizualną. Każdy kadr jest starannie zakomponowany, światło wycyzelowane, a jaskrawość przesłodzonych barw aż kłuje w oczy. Te zdjęcia są arcydziełem wizualnego kiczu i sprawiają pewną przewrotną przyjemność, niczym landszafty z jeleniem, którego zastąpiły lwy, bawoły i przystojniak Redford. Sentymentalnej, mdłej aury dopełnia słodka muzyka. Ulepek dla oczu, uszu i mózgu.

Angielska „Mona Lisa" Neila Jordana i amerykańskie „Po godzinach" Martina Scorsese prezentują kino raczej rozrywkowo o podobnej „onirycznej" formule. „Po godzinach" można uznać za sukces — przede wszystkim warsztatowy. Czego nie da się, niestety, powiedzieć o rozreklamowanej „Monie Lisie" która w zadziwiający sposób zrobiła karierę festiwalową (Cannes, Valladolid). Na filmie tym zaciążyło niezdecydowanie twórcy między melodramatem, kryminałem, historią à la „Alicja", a w miarę realistyczną opowieścią o londyńskim półświatku.

Wszystkie jednak, lepsze lub gorsze filmy Konfrontacji (nawet wspaniałe dzieła Bajona i Shinody) bledną na tle prawdziwego arcydzieła — „Misji" Rolanda Joffé, być może jednego z najgłębszych i najmocniejszych filmów w historii kina. Przyznaję, że jestem wobec tego filmu trochę bezradny ze względu na nieprzekładalność arcydzieła filmowego na język pojęciowy. Opis zdawkowy nie miałby większego sensu, skupię się więc na uproszczonej wykładni filmu, począwszy od jego tytułu. Obraz w warstwie najbardziej zewnętrznej odnosi się do autentycznej historii misji jezuickiej w Paragwaju w połowie XVIII wieku. Jezuici zorganizowali wśród Indian Guarani coś na kształt państwa misyjnego — komunę opartą na zasadzie równości, braterstwa i wspólnej pracy. Ale po roku 1750 kolonialne interesy Hiszpanii i Portugalii (za przyzwoleniem Rzymu, który gotował się do kasacji zakonu jezuitów) doprowadziły do likwidacji misji, zniewolenia lub wybicia Indian i zakonników, którzy (jak bohaterowie filmu) często ginęli z nowo pozyskanymi dla wiary braćmi. Zatem misja to instytucja kościelna i polityczna, która z racji swej niewygody dla ziemskich interesów władzy uległa zagładzie. Ale w tytule tym — i w filmie — chodzi też o coś istotniejszego, o misję misji. Jest nią głoszenie miłości bliźniego i niestosowania przemocy w stosunkach między ludźmi — jako jednostkami, jako siłami politycznymi, wreszcie jako różnymi kulturami. Przemoc rodzi przemoc w błędnym kole: oko za oko, ząb za ząb, gwałt za gwałt. Jedynym sposobem powstrzymania tego mechanizmu jest bezwzględne poniechanie użycia siły, nawet w obronie słusznej sprawy (taką konsekwentną do ostatecznych granic postawę, niepojętą dla naszego zwykłego myślenia, reprezentuje w filmie jedna z głównych postaci — ojciec Gabriel). Zakonnicy wcześniej niż René Girard, nawiedzony francuski antropolog, objawili światu istotę ewangelicznego przesłania, „rzeczy ukryte od założenia świata". Co więcej, wcielili ją w życie. Ale świat poza misjami pozostał głuchy i być może pozostanie głuchy do końca. Tu ujawnia się trzeci aspekt tytułu. Dzisiaj film Rolanda Joffé sam jest misją, przesłaniem. Pozornie wymowę ma pesymistyczną, skoro opisuje triumf przemocy, zrodzonej z mimetycznej pożądliwości (żeby użyć terminologii Girarda), w dodatku sankcjonowanej przez królów i papieży tego świata. Ale — czy rzeczywiście? Ze zgliszcz misji niedobitki Indian uniosą w głąb dżungli monstrancję i skrzypce — wymowne symbole przesłania Ewangelii i ojca Gabriela.

Bogata myślowo, artystycznie doskonała „Misja" przywraca miłośnikom filmu nadzieję, że wróżona rychła śmierć kina nie jest jeszcze tak blisko.

Ciągle natykać się na nowy wariant człowieka — na ludzkość w każdym odmienną — i wiedzieć, że tym wariantom nie ma końca — i że naładowani jesteśmy nieskończonością innych możliwych kombinacji — i że nie ma takiego człowieka, który by nie był możliwy w bliższej lub dalszej przyszłości (...), ależ to jest wewnętrzna otchłań! To prowadzi do rozwydrzenia wyobraźni! To obala wszystkie normy, psychologiczne, moralne i inne, ma się wrażenie, że jesteśmy rozsadzani, nie duchem bynajmniej, a spiskiem spółkujących ciał stwarzających wariant.

Witold Gombrowicz

Koncepcja antykoncepcji

Wiesław Horabik

— ANTYKONCEPCJA? U nas coś takiego w ogóle nie istnieje — powiedział mi jeden ze znanych lubelskich ginekologów. — A ściślej: przestało istnieć. Antykoncepcja to w praktyce po prostu skrobanka.

— Czy takie poglądy głosi pan publicznie? — zapytałem.

— To przecież publiczna tajemnica. Gdybym powiedział wszystko, co na ten temat wiem, nie nadawałoby się to do rozpowszechniania.

Jeszcze trzydzieści lat temu opracowaliśmy jeden z najbardziej ofensywnych systemów propagowania zasad regulacji przyrostu naturalnego. Szeroko działało Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa, ukazywały się wielkonakładowe broszury i specjalistyczne książki, ośrodki zdrowia prowadziły akcję uświadamiającą, apteki były zarzucone środkami antykoncepcyjnymi (prezerwatywy sprzedawano nawet w kioskach „Ruchu"), a nade wszystko mieliśmy przepis.

W kwietniu 1956 roku ukazała się ustawa „O warunkach dopuszczalności przerywania ciąży". O podobną regulację prawną dziś jeszcze bije się na świecie wiele społeczeństw. Rodzimi przeciwnicy tej ustawy bardzo często zapominają o brzmieniu jej nadtytułu. A właśnie precyzyjnie sformułowane warunki dopuszczające zabieg stanowią o jej racjonalizmie i humanitaryzmie. Tyle, że za przeciwnikami ustawy stoi dziś, niestety, praktyka. Zacytowana powyżej opinia lekarza nie jest wcale prowokacyjnym skrzywieniem rzeczywistości, to jedynie stosowna doza uczciwości w widzeniu sprawy.

Dziś drobiazgowymi pro i contra nikt nie zawraca sobie głowy. Aborcja stała się zabiegiem na zamówienie, taką bardziej odświętną wizytą u kosmetyczki czy fryzjera. Właściciele prywatnych gabinetów dobudowują kolejne piętra do swoich willi, a pobladłe pacjentki po krótkim odpoczynku wędrują wolno do domów, udając, że życie bezproblemowo toczy się dalej. Ciąża formalnie przestała grozić sytuacją bez wyjścia, ale ciąża grozi teraz większą niż dawniej łatwością popełnienia błędu, od którego nie ma odwrotu. W tym właśnie tkwi osobisty i społeczny problem. Pisała o nim niegdyś „Polityka", wzbudzając niemałe zakłopotanie zainteresowanych profesjonalistów. Chodzi o ciągłe i bezkarne nadużywanie zasad ustawy. Ktoś powie, że lepsze to niż brudne „babki" i wątpliwej fachowości akuszerki z szydełkami, agrafkami i tym podobnymi (jak podała ostatnio Światowa Organizacja Zdrowia, w krajach, gdzie usuwanie ciąży jest zabronione, 54 proc. wszystkich zgonów związanych z ciążą i macierzyństwem, to efekt nielegalnych sztucznych poronień). Co jednak ze zdrowotnym i psychicznym haraczem płaconym w takich sytuacjach przez kobiety? Krytyka społeczna nic tu nie poradzi (kryje się za tym zbyt duża forsa — obecnie około 15 tysięcy za zabieg), potrzebne jest działanie nieskorumpowanej etycznie części środowiska lekarskiego.

Ingerencje rozmaitych struktur państwa w najbardziej intymną sferę ludzkich działań zdarzały się od zawsze, wolność rodzicielskiego wyboru w tym względzie poddano jednak w wątpliwość dopiero niedawno. Przez wieki milczały na ten temat religie, zajmujące się przecież ze swej istoty sprawami prokreacji. Milczały także wielkie systemy filozoficzne, skoncentrowane bardziej na jakości stosunków społecznych niż na ich ilościowym wymiarze. Wszyscy patrzyli z ukontentowaniem na swobodny wzrost populacji świata. „Rozmnażajcie się i czyńcie sobie ziemię poddaną" — oto obowiązujące jeszcze na początku naszego wieku hasło, wsparte wielożeństwem praktykowanym przez islam i zachętami do rozbudowywania rodziny ze strony hinduizmu i judaizmu. Socjologiczna refleksja pojawiła się późno. Nagle uświadomiliśmy sobie, iż przeludnienie wespół z ekologiczną dewastacją naturalnego środowiska stanowią zagrożenie dla cywilizacji nie mniejsze niż atom.

W tym kontekście sprawa planowania populacji stała się obowiązkiem każdej społeczności. Religie pozostały w blokach. Rozumiejąc ich dogmatyczne racje (tylko Bóg szafuje życiem), nie sposób zignorować ich niezgodności z rozumem. Może to dlatego, jak opowiadał mi jeden Amerykanin, papież Jan Paweł II był podczas swej wizyty w USA bardziej popularny zanim podszedł do mikrofonu, niż w chwili, gdy od niego odchodził. Także i u nas twardy nakaz pozostawienia wszystkiego w rękach natury budzi poważne opory. A więc antykoncepcja. O skrobankach była już mowa, a jakie są inne alternatywy?

Wychowanie seksualne, ustawiające widzenie spraw intymnych we właściwym świetle, w praktyce u nas nie istnieje. Nadal najbardziej nośna kulturowo jest bajka o bocianie i kapuście. Sprawy seksu okrywa wciąż ta sama pruderyjna wstydliwość. W Szwecji matka potrafi przypomnieć synowi, by wychodząc z domu zabrał ze sobą prezerwatywy, u nas eksperymentalna lekcja o sprawach płci budzi rumieńce zażenowania i chichotliwe podszepty. (Bardziej niż o adekwatność przykładu chodzi mi tu o różnicę w widzeniu spraw). Nasza młodzież nie jest wcale opóźniona w seksualnej inicjacji, a jednak kwestia wypowiadania czegoś głośno i w sposób naturalny pozostaje.

Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa, podobnie jak i inne wspaniale autentyczne, małe organizacje społeczne (Liga Kobiet Polskich, Liga Ochrony Przyrody), straciło animusz. (Po początku lat osiemdziesiątych tylko gigantyczne struktury wydają się mieć prawo do działania). Wizyta u seksuologa jest u nas sprawą równie społecznie żenującą co i badanie u psychiatry, poradnie przedmałżeńskie świecą pustkami (przed ślubem kościelnym uczęszczanie na pogadanki jest obowiązkowe), a specjalistów od problemów intymnych człowieka policzyć można na palcach.

Nie lepiej ma się sprawa z dostępnością na rynku środków antykoncepcyjnych. Sprawa prezerwatyw była ostatnio tak głośna, iż w tym miejscu ją pominę. A jakie są inne możliwości? Jaki wybór oferują w tym względzie nasze apteki? Z uwagi na brak medykamentów wytypowano placówkę przy ulicy Hipotecznej, która jako jedyna w mieście posiada ciągłość w dostawach tych leków. Można tam kupić polskie spirale Spider CU, jugosłowiańskie globulki „Patentex-Oval" (za 640 złotych dziesięć sztuk) i kilka środków hormonalnych (Rigendon, Loveston), stosowanych niechętnie. W pozostałych aptekach zdarzają się jedynie pigułki Femigen i Angravit. Jeszcze „Pewex" oferuje spirale zachodniej produkcji za dziesięć lub siedem dolarów. W taki właśnie sposób pragniemy realizować populacyjną politykę państwa, mającą istotne znaczenie w planowaniu warunków i standardu życia przyszłych pokoleń Polaków.

W 1973 roku mieszkańcy Colorado (ponoć najpiękniejszego stanu w USA), zgodnie ze swą pionierską tradycją, powołali do życia specjalny urząd do spraw rozpoznania i programowania rozwoju ekologicznego i populacyjnego. Bez zgody tego urzędu nie można było odtąd budować nowych fabryk ani zakładać nowych osiedli mieszkaniowych. Mimo obowiązującego w USA swobodnego przepływu ludności między stanami, imigracja do Colorado została poważnie ograniczona. Japończycy włączyli do populacyjnych przewidywań pracę specjalnych komputerowych ośrodków obliczeniowych, Chiny z żelazną konsekwencją realizują swą koncepcję rodziny 2 plus 1. Wszędzie, także i u nas, potrzebna jest przy tym świadomość zagrożeń i pełne współdziałanie społeczne.

Ostatnio Główny Urząd Statystyczny podał najnowsze dane dotyczące ludności naszego kraju. Jest więc nas obecnie 37 571,8 tysięcy. W wieku przedprodukcyjnym znajduje się 29,8 proc. populacji, w wieku produkcyjnym 58,1 proc., a grupa najstarsza stanowi 12,1 proc. W porównaniu z latami poprzednimi zmniejsza się grupa ludzi aktywnych zawodowo, co w konsekwencji musi prowadzić także do ubytków w wypracowywaniu wielkości dochodu narodowego — coraz mniejsza liczba osób pracuje na utrzymanie coraz większej grupy już lub jeszcze nie pracujących. A przecież struktura wieku ludności kształtowana jest przede wszystkim przez regulację urodzeń wespół z obniżaniem granicy umieralności. Obecnie jesteśmy społeczeństwem na progu starzenia się. Tych wskaźników nie da się zignorować. W ten sposób osobisty wydawałoby się problem antykoncepcji staje się częścią problemu ogólnospołecznego. Broszurki rozrzucone niedbale na aptecznych ladach sprawy tej nie rozwiążą, a tragedią byłoby, gdyby przyrost naturalny miał być u nas regulowany, o zgrozo, wskaźnikiem umieralności niemowląt. Jak pisze wszakże „Rzeczpospolita": „W ostatnich latach obniża się on (ten wskaźnik — przyp. WH) systematycznie, lecz nadal jeszcze w tej tragicznej statystyce wśród krajów europejskich wyprzedzają nas jedynie Jugosławia, Rumunia i Włochy".

Na wschód od Bugu

„Sexmisja" wykonała zadanie

OD BLISKO 30 lat dwutygodnik „Sowietskij ekran" organizuje konkurs na najpopularniejsze filmy prezentowane w poprzednim sezonie na ekranach kin ZSRR. W majowym numerze pisma opublikowano właśnie wyniki plebiscytu popularności filmów wyświetlanych w 1986 roku.

W kategorii filmów radzieckich zdecydowanym zwycięzcą został obraz Elema Klimowa „Idź i patrz". Ponad 70 proc. uczestników konkursu oceniło go jako świetny. Dzieło Klimowa zostało równocześnie uznane za najlepsze w kategorii filmów wojenno-patriotycznych. Drugie miejsce widzowie przyznali „Grom dla dzieci w wieku szkolnym" L. Lajusa i A. Icho, a trzecie „Kontroli na drogach" A. Giermana.

Za najlepszą aktorkę roku publiczność uważa Wierę Glagolewą (rola w filmie „Wyjść za mąż za kapitana"), a za najlepszego aktora Aleksandra Michajłowa za rolę w „Łowcy żmij".

Najlepszym filmem roku z krajów socjalistycznych została „Seksmisja" J. Machulskiego wyświetlana na ekranach kin radzieckich pod tytułem „Nowe Amazonki". W czołówce tej kategorii (na czwartym miejscu) znaleźli się ponadto Bolek i Lolek w wersji kinowej.

W odpowiedziach na ankietę „Sowietskiego ekranu" wielu widzów uskarżało się, iż dawniej były filmy, na które ustawiały się kolejki do kas, zaś obecnie prezentuje się w pustawych salach. Nie odnosiło się to bez wątpienia do „Seksmisji", bo właśnie ona ustawiła znowu kolejki przed kasami, a nawet — jak można było usłyszeć od dyrektorów kin moskiewskich — reanimowała zjawisko „koników", którzy zniknęli z krajobrazu wiele lat temu. Mimo iż krytycy nie byli zjednoczeni w zachwycie nad filmem Machulskiego, to pełne widownie eksplodowały na „Seksmisji" nieustannie śmiechem, a jej popularność potwierdził plebiscyt „Sowietskiego ekranu".

(jr)

Rys. A. D. Miniewa

Wspomnienia uczestnika akcji

Uwolnienie więźniów pod Wojcieszynem

Wacław Filiks

WŚRÓD wielu publikacji dotyczących działalności oddziałów partyzanckich w rejonie Lublina stosunkowo najuboższa jest bibliografia oddziału partyzanckiego „Rysia".

Jego początki sięgają marca 1943 r., kiedy to w Motyczu powstała Oficerska i Podoficerska Szkoła AK. Jej komendantem został „Ryś" (Stanisław Łukasik), a szefem autor tych wspomnień — „Choina". 19 stycznia 1944 r. szkoła, zagrożona dekonspiracją, przekształciła się w oddział partyzancki i pod nie zmienionym dowództwem wyruszyła do walki. Podstawową kadrę oddziału stanowili elewi wspomnianej szkoły. Wzmianki o tych wydarzeniach znajdujemy w prowadzonej przed dziesięciu laty „Kronice Okupacyjnej" red. Leszka Siemiona („Kurier Lubelski" nr 210 z 17 września 1976 oraz nr 7 z 11 stycznia 1977 r.).

Spośród wielu akcji oddziału „Rysia" pragnę przedstawić czytelnikom akcję pod Wojcieszynem, dokonaną 28 lutego 1944 r. Dodam, że kilka dni wcześniej (23 lutego) nasz oddział atakował załogę SS w majątku Michalewskiego w Lublinie przy ul. Nadbystrzyckiej (obecnie tereny Politechniki Lubelskiej), a była to pierwsza akcja leśnego oddziału partyzanckiego, przeprowadzona w mieście. (Opis tej akcji był opublikowany w „Kurierze Lubelskim" z dnia 31 grudnia 1975 r.).

Po jej zakończeniu forsownym marszem odskoczyliśmy w okolice Bełżyc, gdzie zapadliśmy w zabudowaniach wsi Podole, ale już następnego dnia nasz oddział został postawiony w stan pogotowia: z meldunków wywiadów AK i BCh wynikało, że Niemcy dokonali masowych aresztowań chłopów z okolic Chodla i Opola Lubelskiego i że około czterdziestu z nich jest tymczasowo więzionych w Chodlu i Opolu, oczekując dalszych decyzji.

Komendant rejonu „Inka" wezwał „Rysia" i rozkazał mu przygotować się do odbicia więźniów podczas przewidywanego transportu trasą Opole — Chodel do Lublina i dalej do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Dalsze informacje mówiły, że przygotowywany jest transport samochodami ciężarowymi, a w końcu (28 lutego) otrzymaliśmy sygnał, że transport będzie tegoż dnia i na przewidywanej trasie. Ostatni meldunek otrzymaliśmy o godz. 11.30. Akcję należało rozpocząć natychmiast.

Już parę dni wcześniej dowództwo oddziału rozpoznało teren i zaplanowało akcję, wybierając miejsce zaatakowania samochodów z więźniami we wsi Wojcieszyn, leżącej między Radawcem i Matczynem; wydzieliło z oddziału 30-osobową grupę partyzantów, posiadających najlepszą broń, i utworzyło z nich grupę wypadową. Dowództwo objął „Ryś" z szefem oddziału „Choiną" i „Jankowskim". W rejon Wojcieszyna dotarliśmy na trzech końskich podwodach. Partyzanci przebyli drogę ukryci w słomie, którą wymoszczone były sanie. Zatrzymaliśmy się w lesie palikijskim, w odległości około 300 m od Wojcieszyna. Tam dowódca omówił plan akcji, szczegółowo podzielił zadania. Postanowiliśmy, że, ze względu na uwięzionych, będziemy używać broni tylko w razie konieczności.

Z lasu podwody pojedynczo, w dużych odstępach, podjechały pod zabudowania wsi, lokując się w zabudowaniach Bronisława Bednarczyka. Konie wraz z saniami ukryliśmy poza budynkami, natomiast my, zgodnie z ustaleniami, pozajmowaliśmy stanowiska wzdłuż szosy. Wybrane miejsce zasadzki wydawało się dość dogodne: Wojcieszyn leży tuż przy szosie Lublin—Bełżyce, a ciągnący się wzdłuż wsi gęsty żywopłot dawał dobrą osłonę. W miejscu zasadzki przebiegał ostry łuk szosy; zorientowaliśmy się, że jadące samochody będą musiały zmniejszyć tu szybkość. Dla całkowitego zablokowania szosy przygotowaliśmy wóz konny, umieszczając w nim długi drąg i kilka snopków słomy. Do wypchnięcia wozu na szosę przygotowali się „Szpagat" i „Syk" po uprzednim przebraniu się w robocze ubrania chłopskie, których dostarczył im Bednarczyk.

Nadeszła godzina 12.30 Panowała cisza. Partyzanci, zalegający na stanowiskach, przemarzali powoli na wilgotniejącym śniegu. „Ryś", „Jankowski" i „Choina" jeszcze raz skontrolowali stanowiska, udzielając ostatnich wskazówek, a w tzw. międzyczasie ostrzegli mieszkańców Wojcieszyna, by ci nie opuszczali swoich domów do czasu zakończenia akcji.

Wreszcie tuż po godz. 13-ej od strony Bełżyc usłyszeliśmy szum motorów. Kiedy w oddali dało się dostrzec nadjeżdżający wojskowy samochód ciężarowy, „Szpagat" i „Syk" zaczęli wyciągać na szosę uprzednio przygotowany wóz. „Szpagat" ciągnął za dyszel, a „Syk" niezdarnie popychał wóz z tyłu, mając tam ukryty pod słomą karabin. Wyciągnęli wóz na szosę, wykonując nim kilka dziwnych ewolucji, co miało symulować trudności w jego opanowaniu. Skutek osiągnęli, bo samochód zahamował, a siedzący w szoferce i na skrzyni Niemcy powitali naszych chłopców, tak dobrze znanym, rytualnym wrzaskiem. W tym momencie „Szpagat" wyciągnął zza pasa pistolet i z okrzykiem: „Ręce do góry" podbiegł do szoferki, otwierając jej drzwi, w której siedziało dwóch SS-owców: oficer i podoficer. Oficer nie posłuchał rozkazu, chwycił za swój pistolet, lecz „Szpagat" nie czekał i natychmiast oddał strzał. Ciężko ranny Niemiec zwalił się na szosę i leżąc na ziemi jeszcze usiłował się bronić. Dopadł go „Jankowski" i ostatecznie unieszkodliwił. W tym czasie, po przeciwnej stronie szoferki, „Syk" wyciągnął podoficera-kierowcę i odebrał mu broń: automat „empi" i pistolet parabellum. Jednocześnie część partyzantów, znajdujących się najbliżej samochodu, zaatakowała pozostałych Niemców, siedzących wewnątrz skrzyni ładunkowej. Zaskakujący atak odebrał przeciwnikom ochotę do stawiania jakiegokolwiek oporu, niemal wszyscy skwapliwie podnieśli ręce do góry. Po wyciągnięciu Niemców z samochodu odprowadziliśmy ich do chałupy Bednarczyka, tam rozebraliśmy ich do bielizny i pozostawili pod strażą partyzantów.

Okazało się, że w zaatakowanym samochodzie nie było aresztowanych, na których czekaliśmy. Ponieważ narobiło się już trochę hałasu i bałaganu na szosie, szybko zrobiliśmy porządek, samochód zepchnęliśmy do rowu, a wóz, blokujący szosę, na powrót wciągnęliśmy na podwórze Bednarczyka. Postanowiliśmy czekać dalej, mimo obaw że strzały mogły zaalarmować posterunki niemieckie pod Pawlinem bądź załogi znajdującego się pod niemieckim zarządem majątku Matczyn. Od przesłuchiwanych Niemców dowiedzieliśmy się, że w Opolu były wojskowe samochody, widziano SS-manów i żandarmów.

I rzeczywiście niedługo potem poderwał nas odgłos nadjeżdżających pojazdów. Doświadczeni już w blokowaniu szosy „Szpagat" i „Syk" ponownie zaprzęgli się do wozu i wytoczyli go na szosę. Niemiecki samochód ciężarowy, okryty plandeką, zahamował; „Szpagat" i „Syk" z dwóch stron dopadli szoferki trzymając w dłoniach pistolety. Lecz tym razem nie poszło już tak łatwo: Niemcy zaczęli się bronić, padły pierwsze strzały ze strony eskorty. Nasza grupa szturmowa wyskoczyła z ukrycia i, biegnąc, zaczęła ostrzeliwanie samochodu. Na ten widok Niemcy również wzmogli ostrzał. W tej sytuacji otworzyliśmy huraganowy ogień ponad głowami Niemców, pamiętając, że wewnątrz wozu znajdują się więźniowie. Do ataku poderwał się „Cziko" ze swoją grupą szturmową a w niej: „Strzałka", „Skała", „Żbik", „Hardy", „Gołąb", „Sokół", „Motyl", „Jaś", „Maks" i „Gordon". W kilku susach dopadli samochodu, odbierając Niemcom ochotę do dalszej walki. Sprawnie ściągnęli ich z pojazdu na ziemię i odprowadzili do grupy uprzednio pojmanych jeńców, znajdujących się pod strażą „Wisusa" i „Skrzydlatego".

Niestety, nie udało się uniknąć ofiar: podczas wymiany strzałów zginął jeden z aresztowanych chłopów, a drugi został ranny w rękę.

Wśród uwolnionych w tak niezwykłych okolicznościach więźniów zapanowała panika i całkowita dezorientacja. Zamknięci pod plandeką samochodu nie mieli możności oceny sytuacji, sądzili, że wybiła ich godzina. Kiedy wezwaliśmy ich do śpiesznego opuszczenia samochodu, część z nich wyskoczyła na drogę i zaczęła uciekać we wszystkich kierunkach. Większość siedziała jednak skulona na podłodze skrzyni ładunkowej, inni znów leżeli, nie dając znaku życia, a przeważnie byli to ludzie już w sile wieku. Czas naglił, trzeba więc było niektórych siłą wyrzucać z samochodu, a uciekających w panice, zaszokowanych i przerażonych, wyłapać i odprowadzić w bezpieczne miejsce. Wreszcie udało się nam zebrać wszystkich i poinformować ich o uwolnieniu przez polskich partyzantów. W dalszym ciągu nie do wszystkich to docierało, nadal byli w stanie szoku, niektórzy płakali, inni śmiali się, inni znów siedzieli otępiali.

Uwolnionych więźniów załadowaliśmy na nasze sanie i przewieźliśmy do lasu palikijskiego, a następnie do lasu radawieckiego, gdzie po oddaniu odzyskanych w czasie akcji dokumentów nakazaliśmy skierowanie się bocznymi drogami w kierunku ich miejsca zamieszkania. Przy poległym oficerze żandarmerii znaleźliśmy teczkę z dokumentami (Kennkartami) aresztowanych i zdążyliśmy jeszcze przed odjazdem zwrócić je właścicielom. Chłopcy zebrali zdobytą broń i wyposażenie eskorty, a niemiecki samochód zepchnięto z szosy. Jeńców pozbawiliśmy umundurowania i w bieliźnie zamknęliśmy w izbie wraz z uprzednio pojmanymi. Rannych Niemców również przenieśliśmy do chałupy, gdzie nasi chłopcy udzielili im pierwszej pomocy. W sumie schwytaliśmy i rozbroiliśmy szesnastu przeciwników.

Sprawdziliśmy stan naszej grupy wypadowej, na szczęście nikogo nie brakowało, jedynie „Wisus" zameldował, że seria z automatu odcięła mu połę płaszcza. Uznaliśmy, że zadanie zostało wykonane i daliśmy sygnał odwrotu. Dokładnie w tym momencie na szosie ukazała się bryczka zaprzężona w dwa konie, a w niej trzech uzbrojonych Niemców. Mimo pełnej już dekonspiracji naszego oddziału dopuściliśmy bryczkę do wysokości naszych stanowisk, a gdy znalazła się ona przy nas, zaatakowaliśmy z okrzykiem: „Ręce do góry!". Zaskoczeni Niemcy pośpiesznie podnieśli ręce, porzucając broń. Szef oddziału, „Choina", odprowadził trójkę Niemców na punkt zborny, gdzie „Wisus" i „Skrzydlaty" dopełnili reszty, pozbawiając jeńców umundurowania. Zebraliśmy zdobytą broń, a bryczkę ukryliśmy na podwórzu Bednarczyka. Okazało się, że jadący bryczką Niemcy pochodzą z pobliskiego posterunku pod Pawlinem i wyjechali, by sprawdzić, jaka jest przyczyna strzelaniny, którą słyszeli.

Gdy ponownie został zarządzony odwrót, nasze posterunki zaalarmowały, że od strony Matczyna zbliża się następny odkryty wojskowy samochód ciężarowy. Niemcy, jadący tym samochodem, zorientowali się jednak, że na szosie dzieje się coś niezwykłego, być może dostrzegli opuszczone wozy na poboczu drogi, w każdym razie zatrzymali wóz w odległości około 150 m od naszych stanowisk. Szybko powyskakiwali z samochodu, zajęli pozycje przy szosie i otworzyli bardzo silny ogień z broni maszynowej. Odpowiedzieliśmy również ogniem, używając świeżo zdobytej broni niemieckiej. Chłopcy, podbudowani osiągniętymi sukcesami, poderwali się do ataku. Na czele — nieodłączna para obsługi ręcznego karabinu maszynowego z 1939 roku — „Waligóra" i „Longin", prowadząc ogień, biegła naprzód. Zlikwidowano dwóch Niemców, pozostali uciekli w kierunku Bełżyc porzucając na szosie samochód. Zebraliśmy zdobytą broń: ręczny karabin maszynowy, osiem pistoletów maszynowych, trzy skrzynki granatów oraz broń ręczną — karabiny i pistolety, umundurowanie.

Przed opuszczeniem miejsca akcji jeden z partyzantów przemówił do jeńców, nakazując im, by przekazali władzom niemieckim, że akcji dokonał oddział partyzancki, a ludność Wojcieszyna nie ma z tym nic wspólnego. W przypadku jakichkolwiek represji ostrzegliśmy, dokonamy odwetu o niespotykanej sile.

Wreszcie nastąpił odwrót. Okazało się, że w czasie walki został ciężko zraniony jeden z koni w naszych podwodach. Dobiliśmy go, a na jego miejsce wstawiliśmy konia z bryczki. Saniami odskoczyliśmy do lasu palikijskiego i z jego osłony dokładnie obserwowaliśmy teren, a zwłaszcza okolice naszej akcji. Stamtąd wyruszyliśmy śnieżnymi bezdrożami i polnymi drogami do naszych kwater we wsi Podole. O zmierzchu opuściliśmy Podole i, udając się w kierunku zachodnim, nocą dotarliśmy do wsi Zalesie po drugiej stronie Bełżyc.

Przez wiele lat, już po wojnie, nurtowała mnie uparta myśl, co dalej działo się w Wojcieszynie po naszym stamtąd odjeździe, jakie były losy uwolnionych więźniów? W 1977 r. na łamach „Kuriera Lubelskiego" ukazał się apel do żyjących jeszcze byłych więźniów, uwolnionych przez nas, by napisali i podali swoje adresy. Nikt nie zgłosił się. Po 35 latach odwiedziłem gospodarza z Wojcieszyna, Bronisława Bednarczyka, którego zagroda służyła nam jako baza podczas pamiętnej akcji uwolnienia więźniów. Był już stary, schorowany, przez czas rozmowy ze mną nie opuszczał łóżka.

„Wasz pobyt w naszym domu pamiętam dobrze — powiedział. — Byłem wtedy młody i, jak mogłem, pomagałem partyzantom. Po waszym odjeździe, może w godzinę, przyjechało z Lublina pięć samochodów, wypełnionych Niemcami. Wdarli się na moje podwórze, a na ich widok zaczęli przez okno chałupy wyskakiwać rozebrani do bielizny Niemcy. Natychmiast otrzymali koce, którymi pozawijali się, większość spośród nich załadowano do samochodów które szybko ruszyły. Pozostali Niemcy zaczęli zbierać ciała trzech zabitych, do czego również mnie zmusili, a rannych poukładali na moich pierzynach i poduszkach, po czym odwieźli ich do szpitala w Bełżycach.

Proszę sobie wyobrazić, że w czasie, kiedy pomagałem Niemcom nosić zabitych, jeden z nich nachylił się nade mną i wyszeptał: »Uciekaj«. Posłuchałem go i w ogólnym zamieszaniu uciekłem. To chyba mnie uratowało i dlatego żyję. Niemcy przebywali w naszej wsi gdzieś około tygodnia, przeprowadzając rewizje i przesłuchania. Po tygodniu spędzili wszystkich mieszkańców wsi do majątku w Matczynie, którego zarządcą był Niemiec, mówiący po polsku. Kapitan niemiecki prowadzący dochodzenie, oświadczył, że przekonał się, że ludność Wojcieszyna nie miała nic wspólnego z »bandytami«. Poświadczył to niemiecki zarządca majątku i chyba właśnie jemu zawdzięczamy, że wieś nie została spacyfikowana, a my uniknęliśmy śmierci. Na zakończenie przemówienia otrzymaliśmy polecenie o obowiązkowym meldowaniu władzom niemieckim o każdym pojawieniu się »bandytów«. Najważniejsze, że wieś uniknęła masowych represji".

Na zakończenie warto przytoczyć treść oryginalnych dokumentów, niemieckich meldunków policyjnych, dotyczących opisanej akcji. Udostępnił mi je ostatnio historyk i znawca dziejów lat wojny i okupacji, Ireneusz Caban.

Treść meldunku Wehrmachtu z dn. 28 lutego 1944 r.:

„28 lutego 1944 50 bandytów napadło na 3 samochody ciężarowe policji. 2 członków policji SS i 1 policjant zabici".

Treść meldunku policji:

„28 lutego 1944, godz. 17.30, 6 km przed Bełżycami, bandyci napadli na 3 samochody ciężarowe i należącą do Wehrmachtu podwodę konną. Chodzi o bandę, złożoną z około 50 ludzi, dobrze uzbrojoną, która dokonała 4 następujących napadów:

1. na samochód należący do KgL Lublin; dwóch oficerów SS zostało zastrzelonych, trzeci ratował się ucieczką;

2. samochód ciężarowy policji porządkowej OWPO zaopatrzenie Wschód; jeden sekretarz policji został zastrzelony, jeden niemiecki pomocnik kierowcy i dwóch wachmistrzów zostało rozbrojonych i obrabowanych;

3. na podwodę Komisji Werbunkowej Wehrmachtu — pasażerowie: 1 podoficer Wehrmachtu i 2 żołnierzy Wehrmachtu zostało rozbrojonych i rozebranych;

4. na wóz policji kryminalnej z urzędu śledczego, 3 pasażerów prawdopodobnie zostało zabitych".

* * *

A oto imienna lista partyzantów oddziału „Rysia", uczestników akcji pod Wojcieszynem: **Stanisław Łukasik** — „Ryś" (nie żyje), **Eugeniusz Kwieciński** — „Jankowski", **Wacław Filiks** — „Choina", **Jan Jaworski** — „Szpagat", **Władysław Jaworski** — „Hardy", „Niunio" (nie żyje), **Stanisław Żydek-Zieliński** — „Lis" (nie żyje), **Czesław Pawełczak** — „Cziko", **Stefan Pawełczak** — „Strzałka", **Zbigniew Boczkowski** — „Skrzydlaty", **Jan Rachańczyk** — „Waligóra", **Bronisław Wrona** — „Longin", **Stanisław Misztal** — „Skała", **Stanisław Pietrzak** — „Wolny", **Zygmunt Sagan** — „Jaś", **Kazimierz Sagan** — „Maks" (nie żyje), **Marian Sobczyk** — „Gołąb", **Ryszard Łozowski** — „Wilk", **Jerzy Łozowski** — „Tygrys" (nie żyje), **Bolesław Kazimierczak** — „Żbik", **Stanisław Kolak** — „Sokół", **Edmund Tudrój** — „Azurowski" (nie żyje), **Zygmunt Ziółek** — „Szlak" (nie żyje), **Aleksander Kawałek** — „Kowal", **Czesław Kubecki** — „Motyl" (nie żyje), **Tadeusz Danielski** — „Gordon" (nie żyje), **Henryk Paździerski** — „Bem", **Edward Zieliński** — „Jeleń" (nie żyje), **Mieczysław Kiciński** — „Czarny" (nie żyje), **Ryszard Kluza** — „Syk", **Aleksander Jurkowski** — „Igiełka" (nie żyje).

Redagują: Marek Danielkiewicz, Urszula Jaros, Bogumiła Sobótka, Adam Kalbarczyk i Łukasz Manzarek.

Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.

strony 6

Rys. Urszula Gierszon

Stanisław Sadurski

LESZCZYNY

Granicą między kolorem kwiatów a połyskliwością owoców i warzyw
jest piętrowy sześcian z oknami wychodzącymi jak kolce
róży wiatrów na cztery strony świata.
Przycumowany do betonów fundamentu czeka, aż przypłyniemy
z wolnymi chwilami. Zapełnia się wówczas falami rozmów
śmiechem i krzykami dzieci.
Jedna czwarta w przód i trzy czwarte w tył to cały prostokąt
Unoszony zapachami sosny, świerku i jałowca
kołysze się w snach i doskwiera tęsknotą.
Rozłożyste kępy leszczyn wyciągają pręty do wschodzących
na widnokrąg gwiazd naśladując ruch głowy w poszukiwaniu
niewiadomego.
Tak samo jak one na wietrze potrząsam rękami i nie wiem.

PAPROCIE

Zapewne odczuwają bioprądy, podziemne strumienie
i rzeki poruszają niewidocznie strukturę naprzemianległych
listków. Młode pędy strzelają prosto w górę, aby potem
opaść łukiem w dół. Czują twoją wewnętrzną atmosferę,
uśmiech rozpręża i odmładza, lęk kurczy i pożółca.
Łagodność domu poznasz po ich wyglądzie — dostojne
opadają falą zieleni, z regałów, szaf opuszczają łodygi
niżej i niżej. W odróżnieniu od rodziny bluszczów
chodzących na cienkich nitkach różnymi drogami
po ścianach i suficie, one wypełniają przestrzeń
niezależnie i po swojemu. Przymiotniki określają je
w superlatywach na przykład paproć królewska.
Kwitną w baśniach co sobótkę. Kwiat otwiera się
jak sen o dobrym dniu, a jego zapach ma zapach
zapomnienia i rozsiewa się po całym lesie i mieszkaniu.

LITERY

Skoszarowane w alfabecie stoją karnie
w rządku od A do Z. W jednostkach wyrazów
czekają na rozkaz do bitwy o białe pole
kartki. Przekreślone giną niczym nieznani
żołnierze ku chwale ojczystego języka.

Epistolograficzny klejnot miłości

WYDANA jesienią 1986 r. w znanej serii prozy iberoamerykańskiej niewielka książeczka Eleny Poniatowskiej pt. „Kochany Diego, całuje cię Quiela" ucieszy szczególnie miłośników epistolografii, nurtu raczej elitarnego i jakby zanikającego we współczesnej kulturze literackiej. Jest to zbiór dwunastu fikcyjnych listów Angeliny Pietrowny Biełowej, emigrantki rosyjskiej, malarki, do Diego Rivery, wielkiego meksykańskiego twórcy muralizmu. Łagodny ton listów, obrazujących pełen goryczy kilkumiesięczny kadr życia porzuconej przez męża artystki, skrywa niewygasłą mimo rozłąki głęboką miłość oraz niezłomną pasję twórczą ich „autorki", dwie wielkie domeny jej życia, ostatecznie niedocenione i nieodwzajemnione.

Korespondencja to fikcyjna, acz nie trącąca parapsychologią, astralnym wizjonerstwem czy też czymś podobnym. Realną kanwą skonstruowanej przez Poniatowską korespondencji jest dziesięć spędzonych w Paryżu małżeńskich lat Biełowej i Rivery, przypadających na drugą dekadę tego wieku. Lat niezwykle ciężkich, napiętnowanych zimnem, głodem, materialnym ubóstwem — a mimo to radosnych, pięknych, przeżywanych w głębokiej duchowej wspólnocie dwojga serc. Nie opuszcza ich nigdy twórczy zapał; nie tracą nadziei na lepszy los nawet wówczas, kiedy umiera synek Dieguito, ich jedyne dziecko. W każdym z nich goreje nostalgia za swą ojczyzną. Zwycięstwo Rewolucji Październikowej obudziło nowe nadzieje wśród rosyjskich emigrantów artystycznych w Paryżu. Angelina postanawia jednak pozostać u boku Diega. Jej szczęście nie trwa długo. Po zwycięstwie rewolucji w Meksyku, Diego otrzymuje oficjalne zaproszenie od nowo mianowanego ministra kultury do powrotu i animowania ruchu artystycznego, które skwapliwie wykorzystuje, wyjeżdżając jeszcze w czerwcu 1921 r. Brak pieniędzy na drugi bilet zmusza Angelinę do pozostania w Paryżu. Bliższe szczegóły losów Biełowej i Rivery znaleźć można w książce Ilji Erenburga „Ludzie, lata, życie. 1891—1917. Dzieciństwo i młodość", będącej tłem dla spreparowanej przez Poniatowską korespondencji.

Zastosowana przez Elenę Poniatowską metoda impresywnego kreacjonizmu jest prosta i skuteczna. Polega na zderzeniu retrospektywnego wglądu w małżeńską dekadę Angeliny i Diega z porozłąkową codziennością Angeliny. Prezentuje Poniatowska ich świat zewnętrzny, jak i wewnętrzny, ich sukcesy, porażki, stosunki z otoczeniem, a jednocześnie nie stroni od niektórych sekretów intymnego ogniska, co niewątpliwie dodaje lekturze kolorytu emocjonalnego. Przeciwstawia temu przeżycia osamotnionej Angeliny, egzystującej w cieniu nędzy, udręczonej duchowym i fizycznym cierpieniem, rosnącym z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Ten pomysł autorki „Do sępów pójdę" owocuje. Lektura listów wciąga.

Pomimo skromnej objętości i skromnej liczby listów można w nich dostrzec dwa diametralnie różne rysunki psychologiczne bohaterów. Diego jawi się jako osobnik nader żywiołowy, egocentryczny pochłonięty niemal bez reszty przez swój wielki talent, przesłaniający mu niemalarską resztę świata. O ile nie trawi czasu przy sztaludze to oddaje się zażartym dyskusjom artystyczno-politycznym w paryskiej „La Rotonde". Jego miłość do Angeliny zdaje się być balsamem na cały twórczy ferment, jaki niemal go rozsadza. Nadrzędnym dlań uczuciem jest jednak umiłowanie Sztuki. Temu właśnie uczuciu wszystko konsekwentnie stara się podporządkować.

Zupełnie inną osobowością jest Angelina. Łagodna, delikatna, wyrozumiała. Z tych, które w imię Miłości gotowe są na wszystko. Wybaczając mężowi romans i ojcostwo z jej krajanką, młodą adeptką malarstwa, Mariewną Worobiewą-Stebelską, dobitnie podkreśla swą niepospolitą wyrozumiałość i uczuciową stabilność. Zawsze gotowa poświęcić swój talent na rzecz osobisto-rodzinnego szczęścia i spokoju.

Hart ducha i samodzielność Angeliny — przymioty rzadkie raczej u kobiet ówczesnej a i po trosze dzisiejszej doby — doskonale tłumaczy następujący fragment jednego z listów: „Moi rodzice nauczyli mnie radzić sobie samej, to im zawdzięczam ten ogromny dar i nigdy nie zdołam im za to podziękować. Należałam do jednej z rodzin klasy średniej, które w Rosji są źródłem liberalizmu i radykalizmu, a moi rodzice zmusili mnie do tego, bym zdobyła sobie zawód. Podobnie jak mój brat musiałam się uczyć praktykować pracować. Jakże mądrzy byli moi rodzice, bo nakłaniając mnie do podobnego życia, dawali mi klucz do szczęścia. Fakt iż potrafiłam zdobyć sobie własną niezależność materialną, był jednym ze źródeł mojej największej satysfakcji i jestem dumna z tego, że byłam jedną z najbardziej postępowych kobiet moich czasów".

Choć na ogół są te listy łagodne w tonie, to jednak niekiedy ten bilans emocjonalny zostaje zachwiany: niesłabnący bananem, przepełniony liryczną tęsknotą sentymentalizm miesza się ze spontanicznością gorącą zmysłowością — co daje w sumie duchowo-moralną intrygę". Nie mąci ta gra klimatów bogato i barwnie zaprezentowanej ówczesnej paryskiej bohemy artystycznej zdanej praktycznie w większości na identyczny z bohaterami tej korespondencji ciężki los: nędze bytową w głodującym, zimnym wyniszczonym działaniami pierwszej wojny światowej centrum kulturowym Europy.

Takie książki trafiają się naprawdę rzadko. Niepozorne w swej szacie, nie dostrzeżone bądź nie docenione przez krytykę literacką, przemijają w ciszy. Jeśli jednak już trafią do rąk wrażliwego czytelnika, rodzą ten swoisty niepokój, czasami jakby niedosyt, który nie pozwala na odłożenie ich spokojnie na półkę. Do takich właśnie należy ten epistolograficzny klejnot autorstwa Eleny Poniatowskiej. Albowiem w miłości, zwłaszcza „niespełnionej", najpełniej objawia się ludzka kondycja moralna.

Zenon Cieślak

Elena Poniatowska: Kochany Diego, całuje cię Quiela. Wydawnictwo Literackie, Kraków [illegible]

Między determinizmem a nadzieją

„SZCZEGÓLNY to pokój i szczególne zabawki. Nie ma w nim nic z miłego nieładu, atmosfery bezpieczeństwa i beztroski dziecięcego azylu. Jest to pokój ponury, w którym króluje zimny chaos, a dzieci bawiące się wykoślawionymi zabawkami są okrutne. Owa nie-

Znowu

Hanna Sztorc-Grygielska

JEŚLI skoncentruję całą swoją uwagę na tym kluczu, to uda mi się wreszcie trafić nim w dziurkę drzwi naszego mieszkania. Przez chwilę mam wrażenie, że ta drżąca ręka, niepewnie trzymająca klucz, nie należy do mnie, ale unosi się w powietrzu gdzieś obok.

Ściskam klucz z całych sił, żeby nie pozwolić mu uciec i opierając głowę o zimne drzwi, próbuję włożyć go w tę cholerną dziurkę.

Znowu mi się nie udaje.

Wpadam na pomysł, aby lewą ręką przytrzymać mocno swoją prawą dłoń i w ten sposób nie pozwolić jej drżeć.

Wreszcie drzwi są otwarte.

Wchodzę do przedpokoju, opieram się o ścianę i podnoszę głowę do góry tak, żeby widzieć tylko ten sufit. Zawsze wydawał mi się idealnie biały, teraz dostrzegam na nim mniejsze i większe plamy. Nie jest też tak doskonale gładki, jak myślałem. O, tu, w kącie, wyraźnie widzę teraz, że ma wielką plamę, która przelewa się na ścianę i niżej...

„Znowu!" — dochodzi gdzieś z daleka, ale przerywa mi obserwację nierówności i plam na suficie.

Spróbuję nadal wpatrywać się w ten sufit, a wrócisz z powrotem do kuchni i będę myślał, że niczego nie usłyszałem. O — na suficie pojawia się jeszcze jedna plama, nawet większa i ciemniejsza od poprzedniej...

Widzisz, że nie reaguję, więc odwracasz się gwałtownie i mocno trzaskasz za sobą drzwiami do kuchni.

Teraz trzeba przejść wzdłuż tej ściany, która nagle jakby wydłużała się. Drzwi pokoju stają się bardzo odległe i małe. Są tylko maleńkim czarnym otworem w bezkresie ściany.

Trzymając dłoń na ścianie, powoli zbliżam się w stronę tego otworu. Lewa noga leniwie przesuwa się po podłodze. Teraz trzeba unieść prawą i za chwilę będę w pokoju.

Trwa to całe wieki.

Wreszcie drzwi pokoju. Czy zdołam położyć dłoń na klamce i nacisnąć ją tak mocno, aby drzwi otworzyły się i wpuściły mnie do środka?

Słyszę, że zmywasz w kuchni naczynia.

Klamka ustępuje, drzwi się otwierają, ale teraz moja ręka, lepka od potu, nie chce oderwać się od zimnego metalu. Muszę wytężyć wszystkie swoje siły, aby odzyskać dłoń z powrotem. Znowu jest ona częścią mnie.

Rzucam się w fotel, chociaż wcale nie jestem pewien, czy to, co wydaje mi się fotelem, rzeczywiście nim jest. Na szczęście wkrótce czuję pod sobą miękkie poduszki i mogę wreszcie zamknąć oczy. Wszystko wiruje i kręci się coraz szybciej... Nie mogę zatrzymać tego pędu, choć wiem, że wystarczy otworzyć oczy. Ale gdzie są moje oczy? I co trzeba zrobić, aby je otworzyć?

Wszystko się zlewa w jedną różnokolorową plamę...

Nareszcie wchodzisz do pokoju. Czuję, że patrzysz na mnie z nienawiścią i pogardą, i wirujący świat pod powiekami znika. Mogę już otworzyć oczy.

Stoisz przy stole i coś układasz. Wpatruję się w twoje pochylone plecy i nagle stają się one wielkie, tak ogromne, że już nie mieszczą się w pokoju... Za chwilę zduszą mnie...

Ale oto maleją i z boków wyrastają ci maleńkie skrzydełka, którymi zaczynasz trzepotać jak małe pisklę, które jeszcze nie potrafi dobrze fruwać. Twoje drobniutkie skrzydełka są koloru czarnego.

Udaje ci się oderwać od ziemi i oto unosisz się nad moją głową: mała, czarna muszka brzęcząca mi nad uchem. Próbuję cię odpędzić, ale nagle stajesz się maleńkim aniołkiem z twarzą Marilyn Monroe. Ta twarz rośnie, pęcznieje i powoli rozpływa się w powietrzu.

Zamykam oczy.

Słyszę, jak ścielisz łóżko...

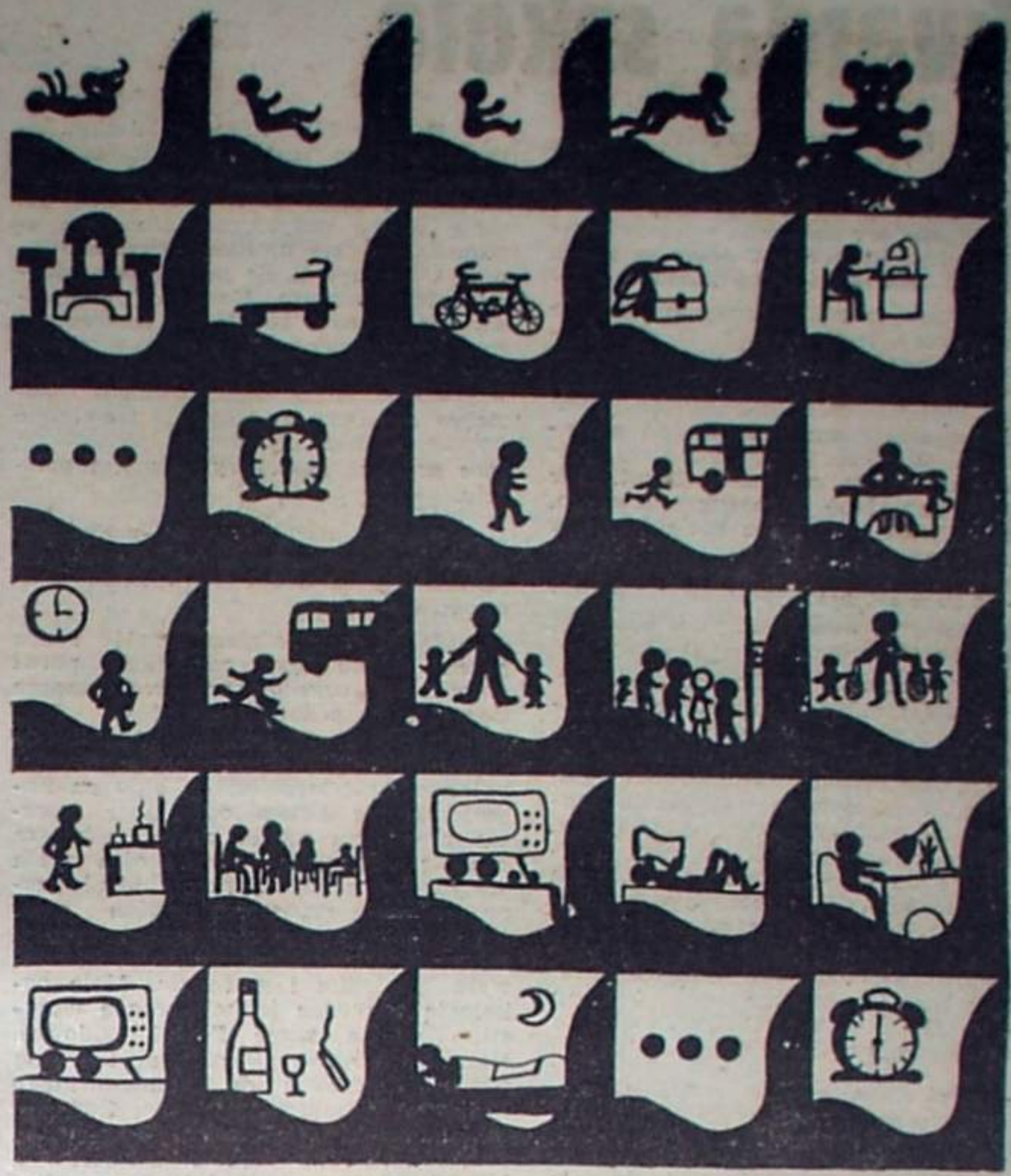

Rys. Urszula Gierszon

Artur Przystupa

* * *

nie było znaku
więc nie mogliśmy
oddać życia
staliśmy nad morzem
ukryci
nie mówiąc ani słowa
staliśmy by lwy
mogły wyszarpać nasze serca
by gladiatorzy wbili na włócznie
nasze głowy
by żywe pochodnie cieszyły
oczy cezara
nie przybył orszak
choć wielu poszło go szukać
a ja sam na plaży wciąż jestem
gotów

* * *

szanse nie są równe
ty najpiękniejsza kobieta
świata
ja zaledwie aspirant
władasz każdym
kogo dotykasz
a ja
ciekawe kto tym razem będzie
pierwszy
w niebie

* * *

nie martwcie się
widowisko zaraz znajdzie
swój początek
chmury czekają na
mój znak
dam im szanse
ostatni raz

---

taforyczna wizja świata, w którym człowiek z najwyższym trudem odnajduje miejsce, a może ledwie cień nadziei dla siebie, jest wyjątkowo spójna stylistycznie, sugestywna i dojrzała..."

Taką oto notą krytyczną opatrzyli wydawcy nowy tomik Waldemara Żelaznego „Pokój z zabawkami", który ukazał się niedawno nakładem wydawnictwa „Czytelnik". I nie jest to, jak zdarza się często, ocena na wyrost, albowiem tom ten ze wszech miar zasługuje na uznanie. Nie tylko wspomnianą dojrzałością, sugestywnością i wyjątkową spójnością, ale jednocześnie ogromną odwagą, szczerością oraz oryginalnym i szerokim spojrzeniem na rzeczywistość.

W przypadku Waldemara Żelaznego w pełni potwierdziła się stara prawda, że ilość nie idzie często w parze z jakością. Autor „Pokoju z zabawkami" rzadko ogłasza swoje utwory na łamach czasopism, a od jego debiutu książkowego „Apokalipsy Jana W.", wydanego w serii III „Lubelskich Prezentacji Poetyckich", minęło już siedem lat. Gdy inni nachodzili redakcje, wydawali tomik za tomikiem (o których wartości można co najmniej dyskutować), Żelazny milczał. Przypomniał się dopiero teraz, ale za to książka na pewno znacząca.

Nie ma u Żelaznego zachwytu nad wspaniałościami i bogactwem świata. Nie ma zauroczenia życiem. W centrum tej poezji stoi człowiek ze swoim dramatem, często bezbronny i często przerażony. Nie mający właściwie możliwości dokonania jakiegokolwiek wyboru i znalezienia sobie miejsca. Często ledwie utrzymujący na sobie ciężar rzeczywistości, w której:

Podchodzą z latarkami. I
zaglądają ci pod czaszkę, pod
powieki, potem
— pod sukienkę. Oziębiają żebra.
Przez jakiś czas wpatrują się
w odsłonięte pulsujące miejsce
między żebrami.

(Intymność II)

Albo gdzie:

Chrzczą nas
po swojemu, nadają różne — czasem
nawet śmieszne — imiona, pytają
o rzeczy oczywiste. Mają pretensję
do nas, że widzimy
coś,
czego nie ma.

(Korytarz)

Autor w zasadzie rzeczywistości nie kreuje. Właściwie to rzeczywistość kreuje i determinuje postawy jego bohaterów. Pobudza ich do buntu i nie pozwala na pogodzenie się z sytuacją.

Dramat polega tutaj przede wszystkim na konflikcie między jednostkową potrzebą wolności a społecznym zniewoleniem, między ideałem człowieczeństwa a jego społeczną kreaturą. Dlatego bohaterowie, często targani ludzkimi namiętnościami, pełni są wewnętrznych rozłamów i sprzeczności. Nie wolni od przerażenia i lęku, ale nie pozbawieni również agresywności i gwałtowności. Jest to jakby ich naturalna reakcja obronna. Prawo do wolności, jednostkowości; prawo do indywidualnego pojmowania rzeczywistości

Na próżno czekają. Idź
wytłumacz im, powiedz, że oszukują
samych siebie — biorą go za szaleńca, którego
da się obezwładnić, przywiązać
do drzewa, kamienia, w worku
zepchnąć z mostu
Albowiem
on jest
i drzewem,
i kamieniem, i wodą, nie zmieści się
do bagażnika.

(Rozmowa albo studium z natury)

Domaga się poezja Żelaznego rzetelnego i sprawiedliwego interpretowania świata, zwalcza nasze skłonności do mitologizowania i uogólniania. Neguje określone systemy społeczne i polityczne, w których znaczenia wielu prawd i wartości uległy zupełnemu odwróceniu: które są mechanizmami ułudy, kłamstwa i z reguły prowadzą jedynie do zguby, gdyż konstruują nierealną wizję rzeczywistości. Nawołuje poeta do wyostrzenia naszych zmysłów, nawołuje do doskonalszego widzenia i rozumienia.

Lament, ból, nienawiść, a nawet śmierć
— są jakby warstwą mgły [...]
To tylko mgła
— trzeba sobie powiedzieć. Jak
inne — nieistotna, oszukująca wzrok.
[...]
Bardziej rzeczywiste
wydaje się natomiast ogrodzenie: straże
przy furtkach, dzwonki i podkopy

(Perspektywa)

Tylko taka postawa, według autora, pozwala na odróżnienie rzeczy ważnych i trwałych, od mało znaczących i nic nie wnoszących. Pozwala na określenie sytuacji współczesnego człowieka i hierarchii jego podstawowych wartości. Świadczy wreszcie o powinności ochrony kształtu człowieczeństwa i ludzkiej godności, a co za tym idzie musi prowadzić do buntu:

krew,
której szukają nożami — którą znaczymy ich drzwi.
Zimna
i powolna

Nie unika również Żelazny penetracji problemów natury historiozoficznej. Stara się zanalizować proces kształtowania się historii. Określić relacje zachodzące między nią a współczesnością. Relacje między człowiekiem a człowiekiem, między człowiekiem a politycznymi systemami. Nie waha się przed stosowaniem języka wieloznacznego, pełnego podtekstów i autorskiego komentarza. Nie unika ironii. Wykorzystując tę metodę, może pozwolić sobie na niezbędny tutaj dystans i zaskakujące często wnioski.

Trudno byłoby w „Pokoju z zabawkami" wyróżnić jakikolwiek wiersz. Wszystkie zasługują na uwagę. Nie wymykają się z koncepcji całości i pozwalają odkryć płaszczyzny, od których zależy ich poetycka organizacja. Podejmują szeroko rozumianą problematykę ogólnoludzką, egzystencjalną i formułują swoistą wizję rzeczywistości.

Szczególny klimat poezji Żelaznego wynika chyba przede wszystkim z głębokiego przeżycia i doświadczenia współczesnej mu sytuacji. Ze świadomej, wewnętrznie osadzonej w nim samym potrzeby zadawania pytań i nieustannego poszukiwania odpowiedzi. Z wiary w poznawczy sens poezji.

Chciałoby się powiedzieć za Arturem Sandauerem (kiedy ten charakteryzował Józefa Barana, recenzując jego pierwsze tomiki: „Nasze najszczersze rozmowy" i „Dopóki jeszcze"), że jest Waldemar Żelazny „obznajomiony z kunsztem poezji współczesnej, nie uprawia go jednak pokazowo. Posiada bowiem kunszt cenniejszy i umie bezpośrednio trafić do serc ludzkich".

Łukasz Manzarek

Waldemar Żelazny: Pokój z zabawkami, Czytelnik, Warszawa 1988.

Twarda szkoła

Dokończenie ze str. 1

— Zapewne, nie jest to obrazek à la Chełmoński ale też już historyczny: chłopski syn, dryblas jak się patrzy, recytujący Horacego czy Sebiduszal Obecnie po wsiach młodzież ceni raczej teksty „Lombardu".

— Wiele zawdzięczam panu Kłębukowskiemu. Inna sprawa, że nie rozumiałem wtedy zupełnie, dlaczego mam wkuwać takie tematy, jak na przykład rozrodczość ślimaków, gdy tymczasem wokół organizowała się partyzantka. Wkrótce zostałem zresztą gońcem jednego z oddziałów Batalionów Chłopskich. Mój ówczesny dowódca, Jasio Cybula, odwiedza mnie dotąd w klinice, jako pacjent.

— O ile wiem, każdy rok takiej tajnej nauki kończył się egzaminem przed specjalną, również tajną komisją.

— W ten sposób ukończyłem dwie klasy gimnazjum, egzaminy zdając w Zamościu. Moją wiedzę sprawdzali m. in. profesorowie Słowikowa, Pieszko i Bojarski, ludzie znani i szanowani, regionaliści w najlepszym tego słowa znaczeniu. Do matury, już po wyzwoleniu, także doszedłem pod ich opieką, uczęszczając do szkoły, której dyrektorem był pan Bojarski, a jednym z nauczycieli pan Pieszko. Tego ostatniego, gdy wchodził do klasy, witaliśmy z nieodmiennym ceremoniałem: dyżurny wznosił okrzyk „Cześć marszałkowi!", a my na to „Cześć! Cześć! Cześć!". Lubił to pan Pieszko, bardzo lubił.

— W okolicach pańskiej rodzinnej miejscowości przelało się wiele krwi, polskiej i ukraińskiej.

— Obie strony skakały sobie do gardeł, myślę dziś, że perfidnie prowokowane przez Niemców. Z biegiem czasu, przy końcu wojny, tereny te stały się jednak tak niebezpieczne dla Polaków, że musieliśmy uciekać z Rulikówki, porzucając gospodarstwo. Zamieszkaliśmy w Hrubieszowie, następnie we wsi Wierzbie, by ostatecznie osiąść w Zamościu, skąd już po wyzwoleniu ojciec dojeżdżał do nieodległego młyna, którym kierował jako pracownik „Samopomocy Chłopskiej". Nigdy nie powróciliśmy do Rulikówki, tylko czasami ojciec próbował coś tam uprawiać, co spotykało się z gwałtownym protestem matki. Jeszcze dwa — trzy lata po wojnie Polacy nie mogli być tam pewni, że przeżyją dzień następny.

— Twardą otrzymał pan szkołę w młodości.

— Moi rodzice nie należeli do bojaźliwych. Pewnego razu pojawił się u nas młody, wynędzniały mężczyzna, jak się okazało — Gruzin, który zbiegł z obozu jeńców radzieckich, znajdującego się w Hrubieszowie. No i pół roku rodzice ukrywali Miriama Gaciciladze, którego zwaliśmy Mironem, a następnie umożliwili mu nawiązanie kontaktu z partyzantką. Wkrótce poszedł do lasu, ślad po nim zaginął. Ale pamięć po Mironie pozostała w rodzinie, więc kiedy mój brat Antoni, rusycysta, wyjechał na stypendium do Związku Radzieckiego...

— Mówi pan o Antonim Semczuku, autorze opublikowanej właśnie monografii „Lew Tołstoj", profesorze Uniwersytetu Warszawskiego?

— Tak... Więc kiedy brat pojawił się w Jasnej Polanie, napisał tam dla „Izwiestii" wspomnienie o „naszym" Gruzinie, które, w przekonaniu, że Miron żyje, zakończył apelem: „Odezwij się!". Serdecznym uczuciem darzyliśmy tego chłopaka, którego swego czasu ukrywaliśmy przy pomocy zmyślnych sposobów, a to ze względu na jego oryginalną, rzucającą się w oczy urodę. Odpowiedź nadeszła dość szybko, ale od starszego brata Miriama, wysokiego urzędnika w gruzińskim kołchozie, który donosił, że poszukiwany przez nas człowiek nie wrócił z wojny. Mój ojciec zaczął więc szukać i w końcu znalazł — grób żołnierza i partyzanta, znajdujący się w Małkowie. Brat poległego odwiedził nas wkrótce w Zamościu, przyjeżdżając wołgą wypełnioną po dach butelkami koniaku. Później gościł rodziców w Gruzji.

— Czy studia medyczne podjął pan zaraz po maturze?

— Tak, w 1947 roku. Po dwóch latach zostałem zastępcą asystenta w Zakładzie Fizjologii profesora Wiesława Hołobuta, co okazało się dla mnie wielce pożyteczne, albowiem opanowałem tam problematykę teoretyczną i nauczyłem się posługiwać odpowiednią aparaturą. Uważam, że wszyscy moi młodsi koledzy o aspiracjach naukowo-klinicznych powinni przejść szkołę teoretyczną. Może warto wspomnieć, że ze „stanowiskiem" zastępcy asystenta wiązało się niewielkie wynagrodzenie, znakomicie uzupełniające przecież niedobory w moim portfelu.

— Wielu z was, obecnych profesorów, pracowało już podczas studiów, znajdując jeszcze czas na działalność społeczno-polityczną.

— Jak wspomniałem, mój ojciec przed wojną był członkiem partii chłopskiej, usytuowanej w obszarze Centrolewu, później należał do PSL Mikołajczyka, następnie wstąpił do Stronnictwa Ludowego, co w drugiej połowie lat czterdziestych było na Zamojszczyźnie aktem odwagi, z rezerwą przyjętym nawet przez najbliższą rodzinę. Myślę, że postawa ojca miała wpływ na moją orientację ideologiczną, w ogóle stanowiąc pewien wzór życia społecznie aktywnego, choć działał on tylko na szczeblu podstawowym, wiejskim i gminnym. Moje pokolenie porywała jednak przede wszystkim wielka wizja Polski Ludowej, stanowiąca naszą głęboką, autentyczną wiarę. Należałem do Akademickiego Związku Walki Młodych, Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej, od 1950 roku, po wyodrębnieniu się AM z UMCS, byłem przewodniczącym Zarządu Uczelnianego Związku Młodzieży Polskiej; wkrótce, w 1951 roku, przyjęto mnie do PZPR.

— Od początku studiów po dzień dzisiejszy związany jest pan z lubelską Akademią Medyczną. Był pan dziekanem Wydziału Lekarskiego, następnie, przez dziewięć lat, rektorem uczelni.

— Za długo.

— Dlaczego? Przecież tamten okres dał panu chyba niejedną satysfakcję zawodową?!

— Owszem, ale i zawał serca, co prawda po upływie pewnego czasu od zakończenia ostatniej kadencji rektorskiej.

— Konsekwencje Sierpnia?

— Raczej wypadkowa różnych doświadczeń, związanych z długoletnim kierowaniem tak dużym i skomplikowanym organizmem, jakim jest uczelnia medyczna. Inna sprawa, że po Sierpniu przeszedłem ostre ćwiczenia z polityki i psychologii, z retoryki i dialektyki, wytchnienie znajdując głównie w sali operacyjnej, gdzie nie mogły mnie dosięgnąć telefony, postulaty i anonimowe pytania, nierzadko błahe, źle adresowane, ale i z tego też względu irytujące. Atmosfera była gorąca, ze zdumieniem obserwowałem, jak pod wpływem ogólniejszych wydarzeń zmieniają się ludzie, z którymi od lat współpracowałem. Ale poza jednym przypadkiem do poważniejszych incydentów nie dochodziło. Ten wyjątek, to trzydniowy strajk studencki, urządzony w miejscu ze wszech miar nieodpowiednim dla takich demonstracji, bo w szpitalu, gdzie przecież minimum spokoju jest warunkiem skutecznego leczenia, a drobne nawet zakłócenia procesu hospitalizacji przynoszą dramatyczne konsekwencje.

— Dotrwał pan jednak do końca kadencji...

— Ciągle kwestionowano moje decyzje, więc powiedziałem na posiedzeniu Senatu, tyle poszerzonego, co spiętego wewnętrznie: wypowiedzcie się, w tajnym głosowaniu, czy mam pozostać, czy odejść przed terminem?! Rezultat był taki, że pozostałem na stanowisku. Warto przy tym zaznaczyć, że spory i dyskusje udało nam się utrzymać na przyzwoitym poziomie kultury obyczajowej.

— A później, po 13 grudnia, strona wcześniej atakowana nie skorzystała z okazji do rewanżu?

— Odpowiem krótko: w okresie stanu wojennego żadna z osób zatrudnionych w Akademii Medycznej nie utraciła pracy, a różne problemy i kontrowersje, które wcześniej narodziły się, rozwiązywano z taktem, w czym znaczna zasługa prof. Jerzego Iskierki, ówczesnego I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR, oraz pułkownika Dudzińskiego, sprawującego funkcję komisarza.

— Ma pan teraz więcej czasu dla siebie?

— Dla siebie? Od siedmiu lat, w ramach Centralnego Programu Badawczo-Rozwojowego, koordynuję prace związane z rakiem krtani. Uczestniczą w nich trzy ośrodki onkologiczne z Warszawy, Krakowa i Lublina. Kierowanie takim tematem nie wyczerpuje się na sprawach merytorycznych, obejmuje też rozdział środków finansowych.

— Doktorat w 1961 r. i habilitację w 1964 r. otrzymał pan za prace z audiologii, która zajmuje się m.in. zatokami przynosowymi, narządem słuchu i równowagi.

— Tak, ale później zainteresowałem się diagnostyką i leczeniem schorzeń krtani, głównie raka.

— W kontekście medycznym każde określenie „rak" budzi strach...

— Statystycznie rzecz biorąc, rak krtani zajmuje czwarte miejsce wśród przyczyn zgonów z powodu nowotworów, po raku żołądka, płuc i kobiecych narządów rodnych.

— Jakaś w tym pociecha.

— Ale trzeba wiedzieć, że stale wzrasta liczba zachorowań na raka krtani i ciągle też obniża się wiek pacjentów. Kiedyś choroba ta atakowała ludzi od 50 roku życia, obecnie stwierdzamy ją już u trzydziestolatków. Gorzej, że przeważają dziś tzw. złośliwe lokalizacje, w górnym piętrze krtani, powodujące przerzuty do innych części gardła.

— Jakie są pierwsze objawy choroby?

— Zwykle chrypka, tyle że długotrwała, nie ustępująca przez dwa tygodnie. Pragnę przy tym podkreślić, że diagnoza jest bardzo prosta, potrafi ją postawić każdy laryngolog, a leczenie podjęte w odpowiednim terminie gwarantuje powrót do zdrowia. Jeśli jednak, mimo tych pierwszych dolegliwości, zwlekać będziemy z wizytą u specjalisty, może dojść do przerzutów raka krtani na gardło i przełyk, a to już grozi tragedią. Owszem, w rozpaczy operujemy i takie graniczne przypadki, ale cóż — na ogół bezskutecznie. Niestety, rośnie liczba pacjentów, którzy zgłaszają się do kliniki z coraz późniejszym rozpoznaniem; na sto takich osób połowa nie nadaje się do żadnego leczenia.

— Może to wina służby zdrowia, złej diagnostyki?

— Słyszałem i takie opinie, ale ich nie podzielam. Winna jest niefrasobliwość ludzi, którzy zbyt późno szukają pomocy u lekarzy. Inna sprawa, że we wstępnym stadium rak nie powoduje bólu, rozwija się podstępnie. Ale i dlatego właśnie nie wolno lekceważyć „byle chrypki".

— Jakie są przyczyny raka krtani?

— To skomplikowana sprawa, wymagająca całego wykładu. Nie ulega przecież wątpliwości, że ważne miejsce wśród tych przyczyn zajmują: palenie papierosów i picie alkoholu.

— Jakimi metodami leczycie to schorzenie?

— Operacyjnie, napromieniowaniem rentgenowskim lub telegammaterapią („bomba kobaltowa"), wreszcie metodą, która stanowi skojarzenie dwóch pierwszych. Leczenie operacyjne i radiologiczne, każde z osobna, w pierwszym etapie zaawansowania klinicznego raka krtani okazuje się skuteczne w 90 proc. przypadków. Powiem po prostu, że w tej dziedzinie osiągamy bardzo dobre rezultaty.

— A jak przedstawia się standard aparatury diagnostycznej i leczniczej, którą dysponuje klinika?

— Posiadamy dobre mikroskopy operacyjne i wiertarki elektryczne, natomiast brakuje nam rzeczy prostych, na przykład lusterek do badania krtani. Odczuwamy też poważny niedostatek aparatury audiologicznej, obserwowany zresztą w całym kraju. Wspomnę, że jeden aparat słuchowy kosztuje w „Pewexie" trzysta dolarów — przygotowywana jest przecież rodzima produkcja urządzeń tego typu.

— Klinika Otolaryngologiczna może przyjąć jednocześnie około 50 pacjentów, czyli niewiele wobec potrzeb, które określa fakt, że służy ona mieszkańcom pięciu województw: lubelskiego, bialskopodlaskiego, chełmskiego, radomskiego i zamojskiego.

Bolesław Semczuk z żoną Ireną (po ślubie w 1951 r.).

— Prawda, na laryngologii brakuje łóżek szpitalnych. Pacjenci, którzy muszą poddać się np. resekcji przegrody nosowej, usunąć polipy czy skorygować plastykę twarzy, czekają na takie miejsce od dwóch do trzech miesięcy. Ale podobnie rzecz się ma w austriackim Grazu, nie mówiąc o Londynie, gdzie na łóżko czeka się i pół roku, jeśli oczywiście w grę wchodzą tzw. planowane zabiegi, nie wymagające natychmiastowej interwencji lekarza. Mogę jednak oświadczyć, że chorych na raka przyjmujemy natychmiast.

— Kto decyduje o miejscu w kolejce do klinicznego łóżka?

— Koledzy z przychodni przyklinicznej. Tutaj nikt nie miał i nie ma prywatnej praktyki!

— Ale spójrzmy na kwestię prywatnego lecznictwa w innej, legalnej perspektywie, którą zdaje się otwierać ogólniejsza tendencja do wyzwalania indywidualnej przedsiębiorczości w polskim życiu społeczno-gospodarczym.

— Owszem, uczciwie prowadzone, w odpowiednich warunkach technicznych i sanitarnych, takie praktyki prywatne miałyby społeczne uzasadnienie — jako uzupełnienie istniejącej służby zdrowia. Nie zgodziłbym się jednak na to, by prowadzili je ordynatorzy oddziałów czy kierownicy klinik placówek państwowych. Nie muszę chyba wyjaśniać, dlaczego tak sądzę. Ale czy my tutaj nie odkrywamy Ameryki?! Przecież prywatne praktyki, w większych miastach mocno rozgałęzione, istnieją w Polsce od dawna, nie mówiąc już o spółdzielniach lekarskich...

— Jako członek Krajowego Zespołu Specjalistycznego do spraw Laryngologii, istniejącego przy ministrze zdrowia, jest pan konsultantem na teren pięciu wspomnianych województw. Już drugą kadencję działa pan w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej do spraw Kadr Naukowych, która funkcjonuje przy premierze. Kieruje pan kliniką, która zatrudnia czternastu pracowników naukowo-dydaktycznych i dziesięciu, jedenastu innych lekarzy. Był pan patronem czterech habilitacji i promotorem piętnastu doktoratów... A czy zna pan smak czasu wolnego, słodkiego lenistwa, jakiegoś drobnego szaleństwa, odległego od medycyny tak, jak dalekie są od spełnienia ideały społecznego ładu doskonałego?

— Odpowiadam na wysokim tonie pańskiego pytania: namiętnie gram w brydża. Do niedawna cieszyły mnie też długotrwałe włóczęgi po górach, ale teraz, cóż, lekarz zabronił...

— Lekarz lekarzowi...

— ...bratem jest.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

MARTWI I ŻYWA

Dokończenie ze str. 1

— Po kontroli jeszcze odwracała się kilka razy do nas — wspomina. — Jakby coś czuła...

Zofia Rudnicka trzy lata starała się o wyjazd. Tuż przed podróżą położyła piękne kwiaty na grobie męża — sześć kolorowych bukietów. Cmentarz przylega do ich obejścia. Nie trzeba obchodzić ogrodzenia dookoła; pani Zofia miała ławeczkę przy murze obok stodoły, z drugiej strony krzesełko — wystarczyło wejść, przekroczyć mur i kilka metrów dalej już okazały nagrobek. Dwie czarne płyty — na jednej z nich napis: „Lucjan Rudnicki, żył 54 lata, zmarł śmiercią tragiczną 21 grudnia 1984 r.". Wyjechał do RFN z wycieczką. Ciało przywieziono — po wielkich staraniach — w zaplombowanej trumnie. Nikt nie wie dokładnie, co się stało. Tadeusz powiada, że został zamordowany prawdopodobnie przez młodocianych rabusiów.

Puste miejsce pod płytą pani Zofia przygotowała dla siebie. — „Przywiozą mnie tutaj tak jak męża", mówiła do nas — wspomina staruszka sąsiadka. I dodaje: — Ile nam jeszcze pisane? Może jeden dzień?

Weź tabletkę

— **Zaliczył czwarty rok** i część piątego, żeby tylko jechać. — Babcia 23-letniego Waldka Dąbkowskiego nie może o tym mówić spokojnie. Rodzice wyjechali dzisiaj do Warszawy na identyfikację zwłok. — To jest mój jedyny wnuk. Był.

Cały czas szczęśliwy tym wyjazdem. — Nie martwcie się. Nic mi się nie stanie. Jadę przecież do mamy. — Matka też z radością czekała na niego w Nowym Jorku. Jeszcze nie wyjechała na lotnisko: samolot miał przylecieć o godz. 14 czasu amerykańskiego — wieść żałobna dotarła już o godzinie dziesiątej. Usłyszeli ją krewni (komunikat w TV — nie mieli jej odwagi o tym powiedzieć). Przyszła koleżanka — nie, nie powie. Trzeba ją przygotować delikatnie, oswoić, dać środek uspokajający. Najpierw, a nie potem. Przecież nie może powiedzieć od razu: wszyscy zginęli. Kochała go tak bardzo. — Weź tabletkę. — Po co? — dziwiła się pani Dąbkowska, jeszcze pogodna, jeszcze radosna i uśmiechnięta. — Weź tabletkę...

Zadzwonił telefon. Ktoś po tamtej stronie był mniej delikatny. Pojechała na lotnisko — to nie może być prawdą. Wisiała już lista pasażerów tragicznego lotu. Ludzie mdleli. Ciocię Darka Odoleckiego w stanie bardzo ciężkim odwieziono do szpitala („To ja mu wysłałam zaproszenie do śmierci"). W niedzielę — specjalnym samolotem — matka Waldka była już w Warszawie i po trzech godzinach w Łomży.

Tak bardzo chciał jechać. Tylko babcia i dziadek byli temu przeciwni. — Dziadku nie płacz — uspokaja go 20-letnia Iwonka, siostra Waldka. — Będę płakać do końca życia.

Był wesoły. Interesował się komputerami, lubił muzykę. Studiował inżynierię sanitarną i wodną na Politechnice Warszawskiej. Dużo czytał.

Wtedy, gdy przenosił walizkę z pokoju na korytarz — nową walizkę — urwała się rączka.

Wszystko było przygotowane na odlot 2 maja. Pojechał kupić bilet, zabrakło mu pieniędzy. Potem, gdy już miał tyle, co trzeba, nie było miejsc. Kupił więc na dzień 9 maja. Na lotnisku przy odprawie paszportowej zawrócono go: nie miał znaczka w paszporcie. Kupił, przylepił.

— Cieszył się okropnie. Marzył o komputerze — mówi Iwonka.

Nie przyjeżdżaj...

— **pisała do pani Krystyny Siwik** jej matka ze Stanów Zjednoczonych. — Nie jedź — prosił mąż, Stanisław. Dzieci też były przeciwne tej rozłące. A pani Krystyna: — Chociaż zobaczę, jak tam jest.

„Wszystko, co zarobię, będzie dla Ciebie. I dla Twoich dzieci. Nie musisz przyjeżdżać" — przekonywała jeszcze matka. Przekonywała nie tylko słowami. Trzy lata temu zamieszkali w pięknym domu, mieli samochód, czwórce dzieci nie brakowało niczego (p. Siwik — kierowca).

Dzień przed wyjazdem były imieniny Stanisława. Przyszli najbliżsi znajomi, dla niej to był wieczór pożegnalny. Była spokojna, pełna oczekiwania i radości. On poszedł wcześniej spać, już o czwartej rano — pobudka. Wyjechali po piątej. Na lotnisku pełna poczekalnia pasażerów i ich rodzin. Nie było żadnych zaskoczeń — tylko najmłodsza Ewunia płakała. Pożegnanie. Potem machnęła im jeszcze ręką — odeszła z tym swoim ciepłym uśmiechem. Pobiegli na taras: Edyta, Tomek, Piotruś i 5-letnia z ojcem. Samolot wzniósł się w pełnym słońcu.

Wstąpili jeszcze na krajowe lotnisko. Powiedział do dzieci: — Za pół roku mamusia przyjedzie i tutaj będziemy ją witać.

Wrócili do zadbanego, wymoszczonego domu. Na każdym kroku — w wypielęgnowanej zieleni, w dywanach, w połysku mebli — wyczuwa się jej obecność. Przyszli znajomi. Już wiedzieli. Spytali tylko: — Czy poleciała zadowolona? — Tak. Zadowolona bardzo. — Zamilkli nagle. Szybko wyszli. Najstarsza, 18-letnia Edytka, włączyła radio...

— Wszyscy mieliśmy przeczucia, nawet jej matka. Tylko ona nie — mówi p. Stanisław Siwik.

Życie darowane

Gnębił ją niepokój. Znajomemu prawnikowi zostawiła swój łomżyński adres w Polsce i testament. — Przecież nie pierwszy raz tu jestem. Ale tym razem coś kazało mi tak postąpić. — Rozmawiam z panią Janiną Szulc, ocalałą pasażerką. Tamtej soboty, 9 maja, nie poleciała do Chicago, jak podały niektóre gazety. Wróciła z rodziną do Łomży...

Przed wyjazdem z Clifton powiedziała do koleżanki z pracy: — Pamiętaj, co teraz mówimy. Jeżeli ze mną się coś stanie, wszystko sobie przypomnisz. — Koleżanka śmiała się: — Nie żartuj.

Gdy wrócili około godz. 20 w sobotę — przed domem czekały już trzy ekipy telewizji amerykańskiej. Do trzeciej w nocy — telefony: od znajomych zza Oceanu i od miejscowych, z francuskiej i hiszpańskiej agencji prasowej. Pani Janina od tamtej chwili ciągle jeszcze znajduje się w wirze popularności. — Dlaczego właśnie ja... Jeszcze do mnie to wszystko nie dotarło. Gdy znajdę się w Clifton, może będę wiedzieć coś więcej.

Wyjeżdżali rano w sobotę, 9 maja; w piątek wieczorem kilkuletnia siostrzenica nagle dostała wysokiej gorączki. Rano przed wyjazdem do Warszawy siostra postanowiła jeszcze zajrzeć do małej, pojechali na osiedle „Południe", czekali kilkanaście minut. Na lotnisku pani Janina była ostatnia w kolejce do odprawy celnej. „Do tej pory nam przed oczyma twarz rozradowanej, młodej, ślicznej dziewczyny, której udało się wsiąść do tego feralnego samolotu na miejsce kobiety cofniętej przez służbę celną" — przytacza relację pracownika „Lotu" „Sztandar Młodych" z 14 maja br.).

— Może gdybym przyjechała wcześniej, celnik zdążyłby napisać protokół, oclić futro?

— To futro powinna pani oprawić w ramkę. Ocaliło pani życie — powiedział potem do niej. — Ma pani szczęście.

Wówczas jeszcze nie docierało do niej w pełni to, co się stało. Ludzie tłoczyli się wokół, dziennikarze, każdy o coś pytał, ściskali ją lub płakali. Stała oszołomiona. — Ocalała. Cóż nadzwyczajnego. Zwyczajny przypadek — komentuje były mąż.

— Zawsze miałam szczęście. Gdy mieszkałam w Łomży (wyjechałam w 1979 roku), wylosowałam samochód. Nie czekaliśmy pięć lat. W Stanach mam szczęście do dobrej pracy, do życzliwych ludzi.

Tuż przed wyjazdem dostała dyplom uznania i nagrodę pieniężną za wzorową pracę.

— Czy pani życie posiada teraz inną wartość? — pytam.

— Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

— Była pani tak blisko kraju umarłych. Jak pani obecnie patrzy na ludzi?

Janina Szulc
Fot. Gabor G. Lörinczy

— Obojętnie. Ludzie są obłudni. Często mili tylko dla pieniędzy.

Przyjechała na ślub córki i chrzciny pierwszego wnuka. Przed chwilą wróciła z synem STAMTĄD.

— Musiałam jeszcze zobaczyć to miejsce... — Milicjanci słyszeli o niej, nawet nie sprawdzali dokumentów, przepuścili na skraj lasu. Koło nich przejechała ciężarówka wypełniona blachami samolotu; z łoskotem zsunęły się tuż obok na asfalt.

— Zatrzęsłam się cała. Nagle zobaczyłam wśród nich swoje ciało. A wszyscy spoglądali na mnie jak na zjawę. — Po chwili dodaje cicho: — Boję się jutrzejszego lotu.

Kiedy wrócili w sobotę wieczorem, siostrzenica była wesoła bez śladu temperatury.

* * *

— Co zrobiłbyś, gdybyś wiedział, że masz jeszcze tylko trzy dni życia? — pytam kogoś spoza katastroficznego kręgu.

Odpowiedzią jest milczący lęk w oczach.

Alicja Niedźwiecka

Dotykanie serca

SZKOŁĘ przy ulicy Hirszfelda 6 w Lublinie, kryją potężne, choć młode jeszcze kasztany. Prawie jej nie widać. Ale szkoła ta wraz z internatem znana jest w Polsce z dwóch powodów: od 25 lat jako jeden z trzech — po Warszawie i Łodzi — ośrodków szkolno-wychowawczych dla dzieci niedowidzących, a ostatnio, jako jedyna w kraju, szkoła-laureat Nagrody Honorowej im. Witolda Doroszewskiego, ustanowionej przez Radę Krajową PRON, Polską Akademię Nauk i Narodową Radę Kultury za całokształt dorobku w dziedzinie upowszechniania języka polskiego w pracy dydaktycznej.

Jak to jest możliwe, by przy specyfice szkoły, wynikającej z wad wzroku jej uczniów, pozostawał jeszcze tak szeroki, i znaczący w procesie dydaktyczno-wychowawczym, margines dla działalności pozalekcyjnej? Składają się nań m.in. koła recytatorskie, polonistyczne, teatralne. Efektem systematycznej pracy są konkursy nie tylko pięknego słowa, ale i ortograficzne oraz wypracowań szkolnych. Są też wycieczki krajoznawcze, zwiedzanie muzeów, audycje słowno-muzyczne, spotkania z ciekawymi ludźmi, w tym bardzo często z aktorami, ludźmi pióra i sztuki. Nie zdarzyło się, by ktoś z nich odmówił wizyty w szkole pod kasztanami przy ulicy Hirszfelda.

Wszystkie dzieci mają szansę wzięcia udziału w popisie recytatorskim. Nawet jeśliby miały — z przyczyn wad wymowy — wypowiedzieć tylko kilka słów. Bo najważniejsza w tym wszystkim jest wiara, że potrafią i to wcale nie gorzej niż ich pełnosprawni rówieśnicy. A bywa, że i lepiej: oto w konkursie na recytację poezji Leśmiana, organizowanym przez Muzeum im. J. Czechowicza laureatką zostaje Agnieszka Tryksza. Grupka recytujących uczniów występuje w bibliotece na Bronowicach, w tamtejszym klubie kombatanta, domach opieki społecznej, Spółdzielni Inwalidów Niewidomych.

Nauczyciele z innych lubelskich szkół pytają zdziwieni: czy to jest możliwe, by tylu uczniów nauczyć dobrego recytowania? Tak, jest możliwe. Bo recytacja to jedna z form pracy rewalidacyjnej, mającej przywrócić i przystosować dziecko do społeczeństwa. Pomimo jego wady, kompleksu i, niestety, dość powszechnego jeszcze odtrącania tych, co inni i słabsi.

— „Mamo, przytul mnie, nie jestem kaktusem" — recytuje mały Ernest z III klasy. Jego mama jest daleko, ale on wie, że gdyby usłyszała, wzięłaby go w ramiona. Bo Ernest swoim słowem dotyka serca.

Wszystkie dzieci w szkole przy Hirszfelda uczą się tej sztuki dotykania serca słowem. Słowo jest tu najważniejsze. Ma więc być piękne i wiarygodne. Ich wzrok nie zawsze nadąży na drukiem, a ręka poprawnie wynotuje. W przekonującej komunikacji ze środowiskiem pozostanie więc słowo.

Jakieś pięć-siedem lat temu na jednej z konferencji szkolnych zastanawiano się, jak zorganizować pracę nad językiem ojczystym, by efekty były większe? Pole działania ograniczały wady wzroku uczniów, ale przy odpowiednio stosowanej higienie pracy wzrokowej udało się zachęcić uczniów do obcowania z książką. Potem przyszły konkursy czytelnicze, ortograficzne oraz konkursy na wypracowania szkolne, rejestrowane w szczególnych przypadkach na taśmie magnetofonowej. Ta działalność pozalekcyjna stała się wspólnym dobrem i uczniów, i nauczycieli. Każdy ich wysiłek, każda udana impreza, pomysł, wykonanie były zauważone i należycie ocenione.

5 maja br. przyszła nagroda najważniejsza i najmniej chyba spodziewana. Pięciu nauczycieli polonistów z lubelskiego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niedowidzących stanęło w szeregu laureatów nagrody im. Witolda Doroszewskiego, by z rąk prof. Jerzego Ozdowskiego, Jana Dobraczyńskiego i ministra Aleksandra Krawczuka przyjąć należne szkole, a także i im samym za ofiarną pracę, gratulacje. Godzi się wymienić nazwiska nagrodzonych: Irena Babiec, Henryka Burmańczuk, Józefa Szczerba, Władysława Utnik i Waldemar Siwek.

Na pytanie, czy jest możliwy — poza codzienną, trudną, specjalistyczną pracą nauczycielską — tak szeroki i znaczący margines pozalekcyjnej działalności słyszę w odpowiedzi powtarzające się stwierdzenia: to wynik dobrej, zachęcającej do ponadprogramowego wysiłku, atmosfery szkoły, prowadzonej przez dyrektorkę Krystynę Budzyńską, to doświadczona, zaangażowana kadra nauczycieli i wychowawców internatu, to wreszcie ogólna potrzeba niesienia pomocy dzieciom nie tylko skrzywdzonym przez los, ale i na dobrych kilka lat oderwanym od rodziny i domu.

W szkole przy ulicy Hirszfelda uczy się według programu szkoły masowej 140 uczniów w klasach I—VIII. W tym tylko piętnaścioro dzieci z Lublina. Czyżby pocieszający był fakt, iż tak niewiele jest niedowidzących dzieci w lubelskich szkołach? Dygresyjnie niejako powiedzieć trzeba o nieuzasadnionej wręcz obawie i opieszałości rodziców i szkół w kierowaniu dzieci niedowidzących do tego typu placówek oświatowych. Często wysyłane są tu dzieci dopiero wówczas, kiedy nie rozpoznana wcześniej wada wzroku powoduje trudności w nauce i trudności wychowawcze. Po co więc zwlekać?

Marta Denys

ABC DIVERTIMENTA

ADAM — Natanek; w tym roku obecny był w Nałęczowie i ciałem i duchem. Trudno wyobrazić sobie festiwal bez człowieka, który przyzwyczajał nas do siebie przez 16 lat. To ludzie tworzą atmosferę. Divertimento ma kilku takich admiratorów. Inny przykład — prof. Dzierżykraj-Rogalski. Ale dyr. Natanek jest najważniejszy.

BAROK — barocco; po włosku znaczy tyle co przesadny, dziwny. Dużo tego było. A już najwięcej w wykonaniu orkiestry Concerto Avenna. Takich orkiestr barokowych istnieje w świecie wiele. Ale te światowe starają się o oryginalne instrumenty z tamtej epoki. A nasza, polska, wpadła na oryginalny pomysł. Gra na instrumentach współczesnych. I odróżnia się zasadniczo. A mówi się, że brak nam fantazji!

CON BRIO — słuchając przebojowych miniatur w rodzaju Walca Debussy'ego czy też Valse Triste Sibeliusa i obserwując publiczność zgromadzoną na sali, dochodzi się do wniosku, że to właśnie jest edukacja muzyczna. Powtarzanie ciągle tych samych motywów melodycznych, aż słuchacz zamiast mówić: „Skądś to znam", powie: „To jest właśnie Marzenie Schumanna", Con brio — żwawo, z życiem, wesoło. A po lubelsku — Trio PFL.

DYSONANS — kiedyś już o nim pisano. Pewna pani fotoreporterka, uparła się być gwiazdą: Festiwal stwarzał po temu znakomitą okazję. Ale wówczas skrzypek był mężczyzną i okazał się na tyle delikatny, że wyzwał tę panią od pięknych kobiet. Tym razem pianista byłby wyzwał reportera na pojedynek, ale nie mogli się dogadać po angielsku. Mili artyści: albo uczcie się pokory wobec muzyki, albo angielskiego. A propos pokory. Henryk Wieniawski grał kiedyś w carskim pałacu. U nóg cara odpoczywał jego ulubiony dog, który na grę zareagował wyciem. Skrzypek przerwał i wtedy car zwrócił się doń: „Kochany Wieniawski! Jak widzę, mój pies ci przeszkadza". Na co Wieniawski: „Ależ nie, wasza wysokość. To ja jemu przeszkadzam".

EWELINA — kawiarnia; nosi imię właścicielki. Nie ma chyba człowieka, który będąc w Nałęczowie, nie zatrzymałby się tam choć na chwilę. Raz do roku Ewelina przenosi się do pałacu Małachowskich. A wraz z nią torty —palce lizać. Pani Ewelina jest artystką. Francuzi powiedzieliby o niej: „maitre".

FILM — na pytanie, czy spotkał się kiedyś z krytyką, która go rozbawiła, Artur Rubinstein odpowiedział: „I owszem, ukazała się taka. W jednej z kalifornijskich gazet napisano: »Fortepian był znakomity i Rubinstein nieźle na nim grał«" Na szczęście istnieje sztuka filmowa. I to wspaniałe poczucie humoru można pielęgnować wieki całe. Chciałoby się, żeby spółka Perski — Sierpiński co roku przyjeżdżała na Dvertimento ze swoimi filmami. Może z czasem uzbiera się ich trochę na wszystkie wieczory.

GÓRZYŃSKA — a niektórzy twierdzą, że małżeństwo, dziecko i muzykujący brat to początek końca kariery. Występ Barbary Górzyńskiej wyraźnie temu zaprzeczył.

HISTORIA — wiele w niej było wydarzeń. A na tegorocznym, szesnastym już festiwalu? Wszyscy są zgodni, co do inauguracji. „Cztery pory roku" Vivaldiego wzruszają nas niezmiennie od tylu lat. Teraz wzruszenia były wzmocnione dzięki Edwardowi Zienkowskiemu i jego czarodziejskiemu smyczkowi. Ponad 250 lat temu zanotowano: „Ksiądz Antonio Vivaldi, niezrównany skrzypek, wysoko ceniony za swe Concerti i inne kompozycje, zarobił w życiu 50 000 dukatów, ale przez swą wielką rozrzutność zmarł w Wiedniu w nędzy..." I pomyśleć, że dziś mógłby żyć z tantiem!

INWENCJA — trochę jej organizatorom zabrakło. Nie pomyśleli o większym zróżnicowaniu form i środków wyrazu. Może by tak przybliżyć nieco do Divertimenta Lubelskie Spotkania Gitarowe, a także pomyśleć o sztuce wokalnej, flecie i kilku jeszcze innych instrumentach? Mam nadzieję, że nie zostanę skarcona za podpowiadanie.

JUBILEUSZ — ciągle jeszcze jesteśmy w poprzednim haśle. Już za cztery lata, a jeśli czas będzie „leciał jak pospieszny", to może wcześniej, świętować będziemy jubileusz. Proponuję rozpisać ankietę, kogo chcielibyśmy gościć w Nałęczowie. A potem ogłosić społeczną składkę. Gotowa jestem dać dobry przykład, jeśli byłaby szansa na pojawienie się Yo Yo Ma i jego wiolonczeli. A swoją drogą, czy ktoś kiedyś próbował zaprosić go do Nałęczowa?

KONFERANSJER — nie jest to najładniejsze słowo. Ale nikt jeszcze ładniejszego nie wymyślił. Prelegent, prezenter, zapowiadacz, gospodarz koncertu — wszystko to brzmi najzwyczajniej i w ogóle nie pasuje do tego rodzaju muzyki. Więc może: mistrz ceremonii? Jest nim niewątpliwie Zbigniew Pawlicki — dyrektor Krajowego Biura Koncertowego. Należy się od niego właśnie uczyć, jak słowem zapanować nad słuchaczami.

LUBLINIACY — są tacy, którzy codziennie dojeżdżają do Nałęczowa. Twierdzą, że nigdzie nie ma miejsca, w którym muzyka czuje się tak dobrze. Niestety, w sali balowej publiczność jest przypadkowa. Nie zawsze wie, że to głównie z myślą o niej, złożonej z ludzi chorych na serce, powstał ten festiwal. Mimo daleko posuniętych badań w dziedzinie leczenia muzyką, ciągle zbyt mało doceniamy jej rolę w naszym życiu.

MISTRZOWSKIE RECITALE — rzadko mamy okazję gościć artystów z Kuby. Tym razem wystąpił pianista Jorge Luis [illegible] Złoży hołd swemu zmarłemu w 1963 roku rodakowi Ernesto Lecuonie. Zainteresowanie Lecuony muzyką rozrywkową (jest m.in. kompozytorem Siboney), świadczy o wielkiej sile melodyki, o czym zapominają niektórzy eksperymentatorzy.

NIEDOKOŃCZONA — nowym, wartym powtarzania pomysłem było przeniesienie się na jeden wieczór do kościoła w Bochotnicy, a na pozostałe dwa — w Lublinie. Orkiestra naszej filharmonii oraz chór Instytutu Muzykologii Kościelnej KUL pod dyr. Adama Natanka wykonali Mszę G-dur oraz symfonię „Niedokończoną" — obydwie autorstwa Franza Schuberta. Brahms, rozpoczynając w Wiedniu próbę koncertu, zwrócił się do orkiestry ze słowami: „Teraz moi panowie, zagramy Schuberta »Skończoną« w h-moll". „Pan miał na myśli, mistrzu, zapewne »Niedokończoną« Schuberta" — spytał koncertmistrz, dając wyraz konsternacji muzyków. „»Niedokończoną«? — gniewnie odpowiedział pytaniem Brahms. — Jeżeli wszystkie dzieła byłyby tak skończone jak to, wierzcie mi, żylibyśmy w prawdziwym raju muzycznym".

OPINIE — zawsze przy takich okazjach znacznie się różnią. Najwięcej kontrowersji wywołała interpretacja muzyki przez Concerto Avenna. Oni właśnie tak wyobrażają sobie tradycję. „A któż wie, co to jest tradycja? — powiedziała pewna śpiewaczka. — Być może Bach grał to inaczej, bo wcześniej zjadł wspaniały podwieczorek. Teraz ja to wykonuję i trzeba wziąć pod uwagę również moją fizjologię". A potem się wszystkiego wyparła.

PORY ROKU — mamy wiosnę. Vivaldi, by ją opisać muzyką, posłużył się sonetami nieznanego autora: „Pogodny temat ritornella I części wyraża nastroje wiosenne, sola skrzypcowe zaś opisują śpiew ptaków, szmer strumieni, błyskawice i grzmoty. Szczególną pięknością odznacza się część druga. Skrzypce i altówki oddawać tu mają szelest liści poruszanych tchnieniem wiatru w koronach drzew, a na ich tle rozbrzmiewa pełen słodyczy śpiew solowych skrzypiec, symbolizujący drzemiącego pasterza. Pełna uroku jest także część trzecia, gdzie w takt basowych kwint, imitujących dudy, rozwija się wdzięczny taniec nimf i pasterzy".

Concerto Avenna **Fot. Cezary Krupa**

ROMANTYZM — romantycy uważali muzykę za sztukę płynną, fantastyczną, mającą zdolność wyrażania najrozmaitszych uczuć i nastrojów. Szkoda, że to było tak dawno.

SCHUBERT — niemiecki romantyk i liryk zadomowił się w tym roku w Nałęczowie, po niezwykle ciepłym przyjęciu jego Kwintetu A-dur, wykonanego przez Kwintet Fortepianowy PFL.

TEUTSCH — dotyczy to także pana Karola, który na dodatek tryskał tutaj poczuciem humoru i energią.

UWERTURA — także miała miejsce, na dwa dni przed rozpoczęciem Divertimenta, w lubelskiej Filharmonii, z udziałem Vivaldiego, Zienkowskiego, Teutscha i miejscowej orkiestry.

ZAKOŃCZENIE — nałęczowskie ptaki zamilkły zdziwione tak nagłym zniknięciem muzyki.

Irena Filus

Okolice sztuki

Lublin pełen deserów

W OSTATNIEJ swej książce „Krakowskie Przedmieście pełne deserów", będącej zbiorem refleksyjnych rozmaitości, w których wspomnienia pisarza przeplatają się z myślą ogóln[illegible] proponuje coś, co chyba do białej gorączki doprowadza naszych poetów, wszak ogromnie przywiązanych do idei misji dziejowej: „Ta zbyt wysoka poezja polska — tkwi w niej coś równie niepokojącego co we wsi ciemnej, słowo daję! Zostawcie poezję na boku. Poezja jako kierunkowskaz dnia powszedniego? Nie, zostawcie to! Miejcie oczy otwarte na to, czy uwielbienia literatury zagranicznej nie da się odczytać jako votum nieufności dla krajowej? A uwielbienie wszystkiego, co obce? A to, że kobiety tak chętnie wydają się za obcych? Nawet ta przesadna gościnność?".

Myślę że z sugestii Rudnickiego powinni skorzystać artyści pracujący w innym tworzywie, również oni, którzy przy pomocy kilku linii próbują „definiować" strukturę kosmosu lub ciałem swoim obnażonym, symbolicznie oznaczonym farbą, ocierają się, we własnym mniemaniu, o zagadkę bytu.

Myślę po prostu, że sztuce naszej współczesnej potrzeba jest pokory i uświadomienia sobie granic własnych możliwości.

Lekcję takiej pokory dali nam ostatnio Węgrzy z Debreczyna i okolic, którzy w maju i na początku czerwca pokazali w Lublinie swoje malarstwo, rzeźbę i grafikę.

Była to wystawa spokojna, kameralna w nastroju, wyraźnie adresowana do takiego odbiorcy, który chciałby mieć w domu coś ładnego, rzetelnie wykonanego, odmiennego od przemysłowych standardów, ale przecież trwałego jak platerowy garnitur sztućców. Obrazy chwaliły się solidnymi ramami, niemal wszystkie skrywały się pod szkłem — przedstawiając głównie pejzaże, rzadziej kwiaty, portrety, sceny figuralne. Ujęte w poetyce postimpresjonizmu, ekspresjonizmu czy realizmu, płótna te przemawiały językiem powszechnie już dziś zrozumiałym, wabiły zmysłową urodą, atmosferą spokojnej radości, tonem sentymentalnym, czasami tylko przerywanym gwałtownym poruszeniem materii malarskiej, widocznym na przykład w świetlnych pejzażach takich autorów, jak Fazekas Magdolna (podobieństwo do naszego Kononowicza!) czy Aniko Török.

Można powiedzieć, że była to wystawa nadmiernie pokorna, przyjemna niczym kulturalne przyjęcie towarzyskie. Ale czy nasza plastyka o podobnych aspiracjach, od dłuższego już czasu poświadczająca swoje istnienie w sklepach „artystycznych" i w tzw. salonach „Desy", cierpi na nadmiar kultury?! Najczęściej są to prace na pograniczu kiczu, tandetne pod względem warsztatowym, byle jak oprawione.

Uczmy się od Węgrów. I pamiętajmy, że sztuka tego kraju jest bardzo zróżnicowana, pokaźne jej fragmenty korespondują z żywą problematyką współczesności, artykułowaną na sposób kontestujący, czego przykładem choćby twórczość wielu młodych artystów, skupionych w grupie „Studio" (m. in. Peter Gemes, Beata Szechy), która po raz pierwszy wystąpiła w 1983 roku, w budapeszteńskim Ernst Muzeum. Ciekawe przecież, że nawet w tym nurcie sztuki węgierskiej przewija się wątek ich rodzimej tradycji.

Niejeden z naszych malarzy mógłby też sporo nauczyć się od dzieci. Do takiego wniosku doszedłem, oglądając prace plastyczne młodzieży szkół lubelskich, głównie podstawowych (inicjatywa „Kuriera Lubelskiego") eksponowane w witrynach budynków przy Krakowskim Przedmieściu, pod hasłem: „Milionami serc malujemy: pokój, praca...". Był to imponujący popis nie skażonej rutyną wyobraźni, oryginalności widzenia, ale — i to zdumiało mnie najbardziej — inwencji technicznej! Kredki, farby, szmatki, koronki, pióra, fotografie, „pazłotka", na pewno coś tam jeszcze, oto rejestr materiałów i środków, jakimi posługują się dziś najmłodsi malarze. Uważam tę wystawę za wydarzenie kulturalne pierwszego półrocza 1987 r.

Z nadzieją, że z tego wyrośnie coś okazałego, odnotowuję też niewielki pokaz nowej, młodoartystycznej grupy plastycznej „Barak", która w składzie kilku osób wystąpiła w maju w „Chatce Żaka". Absolwenci Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS — Olga Smoczkiewicz, Anna Mazur, Ireneusz Puchacz, Waldemar Szysz i inni — nie tylko dobrze sobie radzą z materią grafiki i rysunku, ale próbują też komunikować się z widzem przy pomocy znaków symbolicznych, metafor, form aluzyjnych.

Ludzie z „Baraku", róbcie nadal to, co wam odpowiada, ale i zastanówcie się czasami, tak na wszelki przypadek, skąd bierze się u nas „uwielbienie wszystkiego, co obce"?!

IJK

Zderzenia

Adios grusze, wiśnie i morele

Z PRASY: „Mróz zniszczył całkowicie około 20 procent drzew jabłoni, 50 procent grusz, 40 procent śliw oraz większość wiśni, czereśni, a także prawie zupełnie brzoskwinie, morele, orzechy. W rejonie grójecko-wareckim i na Lubelszczyźnie straty są jeszcze większe. Spotyka się tam sady, w których przemarzły prawie wszystkie drzewa, zwłaszcza grusze. Najbardziej ucierpiały drzewa powyżej 15 lat, obficie nawożone azotem i na podkładach mało odpornych na mróz. Kilkadziesiąt milionów wymarzniętych drzew czeka więc na wycięcie". Słowem, sama „radość". Z planu spadną inwestycje w rodzaju zakładów przetwórstwa owocowego, chłodni. Nie trzeba będzie się martwić o opakowania. W cenie zaś podskoczą tędzy drwale, importowani być może z Finlandii, skoro pił brak i będą trudności z karczowaniem? Na kilka lat przyjdzie nam się chyba pożegnać z rodzimymi śliwkami, wiśniami, morelami, orzechami. Jeśli się pokażą, to za cenę owoców południowych. Czarnorynkową — rzecz jasna.

Długie ku ozdobie, krótkie na eksport

MAMY OTO kolejną lubelską Miss, tym razem Długich Włosów. Zdobywczynią tego tytułu została panna Inga Moniakowska, a jej pięknie ufryzowane włosy mierzyły 128 cm długości. W nagrodę panna Inga pojedzie z Juventurem do Czechosłowacji. Brawo!

Nie mniej ciekawy pomysł, niż wybory Miss Długich Włosów, od pięciu lat realizuje Spółdzielnia Pracy Fryzjersko-Kosmetyczna w Lublinie. Otóż zbiera ona z lubelskich zakładów fryzjerskich wszystkie ścinki włosów, wysusza je i wysyła do „centrali", czyli warszawskiej Spółdzielni „Współpraca". Ta, z kolei, eksportuje towar do RFN. Za co lubelskie zakłady fryzjerskie otrzymują — nieosiągalne na krajowym rynku — suszarki do włosów, suszarki do modelowania, maszynki do strzyżenia, części do nich zamienne itp. W ubiegłym roku lubelska spółdzielnia wyeksportowała 6 ton ścinków włosów równowartości np. 100 suszarek. W roku bieżącym planuje się zwiększenie eksportu do 8 ton.

W tej pożytecznej, jakkolwiek by było, wymianie rysuje się nowa oferta, która zainteresuje, być może, przyszłe Miss Długich Włosów. Otóż Wielka Brytania zgłosiła chęć importu tego surowca już od 15—20 cm długości i więcej, w zamian za sprzęt do salonów fryzjersko-kosmetycznych. I tu „przelicznik" jest niezły 1 kg długich włosów równa się 3 suszarkom. Jedna suszarka w cenie około 30 tys. złotych. Posiadaczki długich i gęstych splotów będą więc mogły odsprzedać je korzystnie zakładom fryzjerskim. Usatysfakcjonuje je nie tylko konkursowa wycieczka do Czechosłowacji — jeśli któraś zostanie Miss — ale i sumka na drobne wydatki.

Tylko czy nasze złotówki będą warte funta włosów

Miret

Wraz to samo

JEST W LUBLINIE sztuczna góra. Nazywa się „Globus". Zimą służy do zjeżdżania na nartach i sankach. Nieco dalej, w dole, jest tor łuczniczy, wyżej — sztuczne lodowisko, z boku — barek kawowy. W całości — ładny teren sportowo-rekreacyjny z walorami krajobrazowymi. Z nimi zaś więc powinna iść w parze architektura obiektów sportowych, co się rozumie samo przez się. Po to przecież zbierają się na kongresach, zjazdach, sympozjach planiści, urbaniści, architekci, by krytykować, radzić, postulować i wprowadzać w życie architekturę funkcjonalną, oryginalną, niebanalną itp.

Na samym froncie owego „Globusa" — od strony ulicy Filaretów — w miejscu otwierającym widok na wspomniany teren sportowo-rekreacyjny, stanął jednakże piętrowy bloczek w prostocie swej tak toporny, że już podobnego po najgłuchszych gminach ze świecą by szukać. Ma tu być podobno siedziba jednej ze sportowych instytucji. Zgoda, niezamożnej, nie szastającej się na luksusy. Ale — na Globus i okolicę! Czyż projektant nie mógł wysilić swojego z kolei globusa, by zaproponować — nawet w tej samej cenie — czegoś ciekawszego, niż ten kanciasty, toporny bloczek? W miejscu widokowo eksponowanym?

Architekci, planiści, urbaniści radzą, czas tracą, a na co dzień wraz to samo, jak mówią w Lubelskiem.

Zapomniany pomnik

PRZYPADKOWE SPOJRZENIE do czyjegoś, po drodze mijanego ogródka wyłoniło istnienie, może najmniej znanego w Lublinie, pomnika. Niewielkiego, o tradycyjnej formie postumentu z osadzonym na nim św. Piotrem. Ważniejsza niż jego klucze do królstwa niebieskiego, jest tablica, która informuje, że pomniczek ten wystawiony został „Żołnierzom Polskim poległym na kresach za Ojczyznę w roku pańskim 1919". Ot, okruch naszych niełatwych spraw i dziejów.

Kto wystawił ten pomniczek przy lubartowskiej rogatce, nie wiadomo. Opiekuje się nim jednak od 1938 roku pan Władysław Dabek, dawny pracownik dawnych lubelskich zakładów lotniczych. Pomagają mu też sąsiedzi. I tak, bez szumnych akcji pielęgnowana, jest pamięć i ogródek wokół pomnika. Przyda jednak lata, kiedy opiekunów tej pamiątki ktoś będzie musiał zastąpić. Tylko kto?

(dey)

W hostelu

Dokończenie ze str. 1

Ciągle pokutował bowiem w świadomościach i podświadomościach ten film „Żona dla Australijczyka". Australia, kraj wygłodzonych cieleśnie, wypalonych piekielnym słońcem samców, którzy właściwie wszystko mają, wszystkiego się dorobili, tylko brakuje im kobiet, i sprowadziliby płeć odmienną z najdalszych krańców świata, choćby Eskimoski, lodówek przecież w Kraju Kangurzym nie brakuje.

A tymczasem? Boże, ileż tu kobiet! Fascynujące Wietnamki, drobniutkie jak dziewczynki nie chowane na słynnej pewexowskiej odżywce Humana, hiszpańsko namiętne Salwadorki (prawie kastaniety i mantyla), zgrabne, szczupłe Anglosaski o wydłużonych lekko twarzach i olśniewającym uzębieniu, Włoszki, bardziej zaokrąglone, obłe, ale o twarzyczkach tak słodkich jak z solidnego dewocyjnego obrazka, który kiedyś otrzymałem od baby w Niepokalanowie; miałem połówkę radcowską w pobliskim Teresinie, koło Sochaczewa, to często wpadałem w pobliże klasztoru w Niepokalanowie (gdzie ongiś przebywał Wielki Podróżnik Ojciec Maksymilian Kolbe), żeby nasycić się przyjeżdżającym tam „wielkim światem".

Wszystkie one, i ciemne, i białe, i oliwkowozielone, prędzej czy później stawały się regularnymi Australijkami; złośliwcy nazywali je „Kangurkami" albo „Kangurzycami".

Australia to kraina turystów, którzy tu wpadli jak po ogień i pozostali; niektórzy, ci pierwsi, przyjechali skuci łańcuchami, żeby było bezpieczniej, ale to, mój Boże, już dawno, prawie dwieście lat temu, prehistoria. Owszem, byli miejscowi, Aborygeni, najstarsza podobno udokumentowana kultura świata, ma 40 000 lat, a są i tacy, którzy twierdzą, że Aborygeni byli już na kontynencie przed 100 000 lat...

Ale wracajmy do panienek. Cóż nikt ich z hostelu nie wyciągnął; po kilku, kilkunastu dniach niektóre nałożyły fartuszki, czepeczki i poszły do kuchni, do pana Janka, bo to zawsze więcej niż sam goły zasiłek dla bezrobotnych, tym bardziej, że dla samotnej osoby zasiłek ten był relatywnie niewielki. Prysły sny o milionerach (milioner na przykład potrąca na ulicy rolls roycem czy innym porschem — modne to wśród młodych, nowo kreowanych milionerów — podnosi na ręce, wiezie do kliniki reanimacyjnej, naturalnie prywatnej, a potem na kobierzec ślubny i hajda w objazd świata, można nawet o Gorzów Wielkopolski na ten przykład zahaczyć). Niestety, kapitalistyczny świat jest brutalny i diablo mało romantyczny.

Tu jednak wtrącę krótką optymistyczną dygresję. Jedzie się na układ. Gotowy. Matka moich znajomych w Kanadzie, po rozwodzie, wolna jak ptak, także formalnie, dostała cynk od znajomych: „Przyjeżdżaj, Stefa, motelarzowi pod Toronto umarła żona, szuka kogoś do pomocy". Stefa sprzedała, co miała, na to wszystko i na paszport, dmuchnęła przez Atlantyk odrzutowcem, po paru dniach miała pracę w motelu jako sprzątaczka, po roku była ślubną Polonusa, potem jemu się zmarło, no i dalsze szarady — układy, teraz żyje z konta i giełdy, nowego małżonka sprowadziła sobie aż z Kieleckiego, ludowego rzeźbiarza, świątkarza. Dlaczego to wszystko się powiodło? Bo była myśl, koncepcja. Tu wystarczy trochę z chłopem pomieszkać i już się w świetle prawa jest połowicą faktyczną, czyli de facto, mającą znakomite prawa majątkowe w tym zaimprowizowanym interesie.

Więc szczęście, przypadek zupełnie wykluczyć? No nie, ale udaje się absolutnie nielicznym, i to niekoniecznie tym z najdłuższymi nogami...

Zresztą w hostelowej kuchni znalazły się nie tylko najmłodsze. Do kuchni poszła także humanistka, nauczycielka bodajże wychowania obywatelskiego czy też najnowszych historii, czarna, przy kości, tak koło czterdziestki, o frazeologii górnej i chmurnej, o ciemnych, smutnych oczach (nazywałem ją dziewczyną z „Wiernej rzeki" Żeromskiego.

Otóż historia tej nauczycielki była dość skomplikowana. Przyleciała tu nie bezpośrednio do hostelu (coś w rodzaju obozu dla nowo przybyłych, ale z większymi luksusami niż na przykład w tych starych koszarach pod Wiedniem — Treiskirchen), ale do męża, z którym przez dziesięciolecie utrzymywała kontakt korespondencyjny. „Ochy, i achy". Mąż, okazało się, miał drugą, właśnie taką de facto, jak tutaj modnie. Nauczycielka w płacz, potem ta duma, „Wierna rzeka", i koniec końców znalazła się na tak zwanym socjalu w hostelu. Australia tak się jej nie spodobała, że postanowiła wyjechać; „aby tak podstawili samolot na dziedziniec" — wzdychali „Erefenowcy", „Austriacy", marudził też jakiś „Grek". Nikt jednak nie podstawiał, nawet tutejszego kukuruźnika. Chciałeś, bracie, do Australii, to wytrwaj przynajmniej dwa lata (po dwóch latach umarzano ten darmowy przelot z Europy do Kangurii — wcześniej trzeba by zapłacić kilka tysięcy dolarów).

Nauczycielka więc postanowiła od razu pracować, żeby przynajmniej po tych dwóch latach mieć na bilet powrotny. Najbardziej, pamiętam, bawiło ją, że w Australii jest Armia Zbawienia, taka charytatywna organizacja w mundurach. Ale w kuchni była niezła, przeintelektualizowanie jej bynajmniej nie przeszkadzało w sprawnym poruszaniu chochlą...

Ludzie, jakie były układy? Co było grane? Proste. My na przykład od razu dostaliśmy zasiłek dla bezrobotnych, potrącany zresztą w dwóch trzecich przez administrację hostelu, reszta, około 70 dolarów, na dwa tygodnie na mnie, żonę i nasze nieletnie pachołę była wypłacana w formie czeku. Wtajemniczeni mówili, że opłaca się brać cały zasiłek, wynająć mieszkanie i żyć od razu poza hostelem, myśmy byli jednak na pieniądz niechciwi, nie to było motywacją wyjazdu do Australii, więc mieszkaliśmy ponad trzy miesiące w hostelu, aż wygnała nas z tego „miasteczka pod blaszanymi dachami" stołówka. Tak, właśnie stołówka. Jedzenia było w bród; mięso na słodko, mięso na słono, różowe, pomarańczowe, makarony zielone, ryż prawie w kropki, a desery, palce lizać, ale... to wszystko się powtarzało z piekielną, pedantyczną dokładnością; nawet pan Janek, Szalony Improwizator (wynalazca rosołu á la Polonia z lanymi kluseczkami na tym terenie), nie potrafił temu zapobiec. Po dwóch miesiącach czułeś się coraz koszmarniej, mimo że były właściwie trzy obiady w ciągu jednego dnia i można było brać dowolną ilość repet (jako ciekawostka utkwiło mi w pamięci, że Salwadorczycy wycierali sobie ręce tostowym chlebem jak serwetkami, masło było słone, zaś mleko wydzielane, jedynie dla dzieci, chyba że sprytnie nasypałeś do kubeczka jakiegoś kolorowego proszku, to wtedy kucharka nalewała chochlę mleka na rozpuszczenie). Dziecko jednak już więcej stołówkowego nie chciało i dlatego między innymi trzeba było się stamtąd zwinąć.

Zanim to nastąpiło, był prawie strajk. Pan Rysiu, który już zdążył wyjechać na miasto i nawiązał kontakt z Polonią („stara, hrabiowska" — powiedział, zacierając ręce), zwołał mityng i przez tłumacza oznajmił kierownictwu, że jedzenie jest wprost fatalne i że Polacy nie mogą tego więcej jeść, i że on, pan Rysiu, się w ogóle zatruł. Wyglądał zresztą na takiego, blady jak zmora-Wernyhora, poszli dnia poprzedniego w taki ciąg z panem Jankiem, że twierdzili obaj zgodnie, iż to właśnie Wielka Niedźwiedzica, a nie Krzyż Południa, błyszczy na granatowym, jak sztandar Australii, niebie.

Pan Rysiu miał zielony kubraczek i znaczek pewnej organizacji w klapie, nie PCK; że go jeszcze zachował, wielu nosiło te w Europie, a jakże, a za oceanem jakoś zdejmowało. Zapowiedział przez tłumacza, że Polacy chcą normalnego zdrowego jedzenia, na śniadanie chrupiącą bułeczkę z masłem oraz kawę na mleku, na obiad dobrą zupę i na przykład schaboszczak na drugie, a na kolację może być kaszanka.

Było dużo kłopotu z tłumaczeniem tego ostatniego. Australijczykom trzeba wykładać wszystko kawa na ławę, ktoś jednak wykoncypował, że jest to właściwie jedzenie dla czworonożnych ulubieńców, petów jak ich tu nazywają, choć po polsku, w czystej polszczyźnie, pet znaczy akurat co innego, i takie jedzenie można nabyć w uszkach, w ogóle połowa telewizyjnych reklam jest o takim jedzeniu. To pan Rysiu się wtedy mocno zdenerwował, zupełnie niepotrzebnie, bo to urabia tak zwaną złą opinię.

Cała historia tak się zakończyła, że powołano specjalną komisję, komisja uzbrojona w długie gumowe rękawice grzebała w nie zjedzonych resztkach (tony zostawały, tony), wyodrębniając poszczególne składniki, licho wie zresztą po co. Przez kilka dni po tym niby-strajku — niestrajku było lepiej, a potem pan Rysiu skombinował, to znaczy wynajął, prywatny flat (mieszkanie, nie instrument) nad Zatoką.

Adam Fiala

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — „Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 253-38.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-53, sekretarz redakcji 218-53, dział publicystyki i literacki 273-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1033. 26.05.87. Z-4.

„Sataniści" na estradzie

ŚWIAT show businessu znał już rożne sensacje. Wywoływano je wielokrotnie tylko po to, by rozbudzić zainteresowanie tłumu, spowodować zwiększony popyt na płyty czy koncerty. Sensacje te były zwykle zasłoną dymną, odwracającą uwagę od zasadniczego tematu — wartości artystycznych reklamowanego wykonawcy. Miał on jawić się kimś innym, niż był w istocie. Wypróbowany schemat funkcjonuje do dzisiaj. Jeśli kandydat(ka) na gwiazdę miewa kłopoty natury wykonawczej lub niewiele ma do zaproponowania publiczności — decyduje się na szokujący repertuar, strój albo pozę. Sensacja, choćby w najgorszym guście, zawsze była nośnikiem komercyjnego sukcesu.

Zasady, o których wspominam, przyjęła za swoje heavymetalowa grupa Kat. Za jej sprawą upowszechnia się powoli na naszych scenach obłąkana mania satanizmu. Solista grupy, zarazem autor tekstów i jej główny ideolog, Roman Kostrzewski, nie ukrywa sympatii dla diabła. Śpiewa o Antychryście, a w pisanych przez siebie piosenkach podziwia potęgę dzieła Szatana. Czarną Mszę uważa za działanie terapeutyczne. Chciałby, aby każd. koncert Kata był taką mszą, dawał rozkosz traconej energii, wyrażał emocje zwolenników czarnych mocy. Podkreśla to w licznych wywiadach, a także na płytach. Pierwszy album, wydany przez Klub Płytowy „Razem", przyniósł takie oto tytuły: „Noce Szatana", „Diabelski dom", „Czarne zastępy" „Metal i piekło", „Masz mnie wampirze". Do tekstów, które zapewne mogą robić wrażenie na słuchaczach, muzycy Kata dodają odpowiednią oprawę dźwiękowo-plastyczną, mającą podkreślać ich związek z satanizmem. Inna sprawa, że satanizm kojarzy się im z uciechami życia i zdobywaniem pieniędzy. Chcą mieć ich bardzo dużo, bo tylko one dają wolność.

Historia Kata datuje się od listopada 1981 roku, kiedy to czwórka młodych mieszkańców Katowic postanawia grać ciężką odmianę rocka. Po nawiązaniu współpracy z wokalistą Romanem Kostrzewskim mogli zniewalać słuchaczy nie tylko lawiną dźwięków. Sporadyczne występy na Śląsku i udział w kilku lokalnych przeglądach nia dają muzykom satysfakcji. Pragnęliby sławy, koncertów w halach, a nie wegetacji w klubach. Z pomocą przychodzi im krakowski oddział PSJ. On wysyła członków Kata do Jarocina. W sierpniu 1984 r. grupa zostaje jednym z laureatów festiwalu, co otwiera jej drogę do studia Tonpressu. Pierwszy singel („Ostatni tabor" i „Noce Szatana") wypadł jednak fatalnie. Absolutnie nieczytelny głos solisty i skandaliczne tłoczenie płytki skazywały ją na przemiał, a nie skierowanie do sklepów.

Pierwsze doświadczenia studyjne utwierdziły muzyków Kata w przekonaniu o skuteczności speed-black-metalowych ciągot. Dopracowali się „szatańskiego" repertuaru z zamiarem zagrożenia sławie TSA. Niespodziewana pomoc belgijskiego producenta Josa Kloecka przyspieszyła ich promocję płytową. W krakowskim studiu Teatru STU katowicka ekipa zarejestrowała dwie wersje tnącej jak brzytwa muzyki. Jedna z nich, zatytułowana „666" ukazała się w Polsce nakładem Klubu Płytowego „Razem" Drugą w minimalnym nakładzie wypuściła plajtująca firma „Mausoleum".

Entuzjaści „szatańskiej" kapeli otrzymali kubeł zimnej wody na otrzeźwienie. Płyta obnażyła bowiem mniej niż skromne umiejętności Kata, który poza metalowym łomotem, charakterystycznym dla tego stylu nie pokazał niczego oryginalnego. Szczególnie źle świadectwo wystawił sobie solista, przekonując słuchaczy, że nie umie śpiewać. Głos Kostrzewskiego brzmi anemicznie i nijak nie przystaje do wykrzykiwanych pochwał Antychrysta.

Opiekunowie Kata, wiążący z jego rozwojem nadzieje na większy szmal, nakręcają spiralę reklamy. Umieszczają zespół w spektakularnych koncertach (Metalmania, wspólne występy z amerykańską Metalliką), a nawet nawiązują kontrakt z zachodnią firmą Ambush Record. Efekty tych poczynań są co prawda mizerne, ale interes jakoś się kręci, a sami muzycy śnią o nowych sukcesach. Nie ukrywają już swych fascynacji czarną magią. Podkreślają je w tekstach piosenek i strojach. Ubrani w czarne, nabijane ćwiekami skóry, miotają się na scenie w rytm niesamowicie głośnej, szybkiej i ogłuszającej muzyki. Ma ona obudzić ze snu wątpiących oczyścić ich z niepotrzebnych myśli, rozładować energie i skłonić do wiary w Szatana. Nic dodać, nic ująć.

Kiedy telewizja polska zdecydowała się pokazać film „To jest Ameryka", nie spodziewałem się, że tak szybko sceny z czcicielami Szatana zostaną zaadaptowane do rodzimych potrzeb. Kat okazał się wyjątkowo pojętnym uczniem. Ze śmieszących zachowań amerykańskich satanistów pragnie uczynić stymulator swojej beznadziejnej twórczości. Wiara czyni cuda, więc kto wie, czy za kilka lat mania nie osiągnie większych rozmiarów. Sataniści pojawili się już podobno w Lublinie, Szczecinie, Katowicach, Wrocławiu, Olsztynie... Są sfrustrowani, słuchają namiętnie muzyki black-metal i wierzą w nadejście Lucyfera. Tylko tego nam brakowało!

Istvan Grabowski

KAT Fot. Archiwum

Krzyżówka nr 10 z szyfrem

Poziomo: A. miasto w Poznańskiem z fabryką papierosów ● kłopotliwe położenie ● miasto w Kieleckiem słynące porcelaną. C. wieś w Kieleckiem z fabryką żyletek ● rozwija się w piosence. D. sztuczna postawa ● obraz ● układ. E. z lewej strony mapy ● tekstylne mieszkanie. F. rybackie narzędzie ● założyciel węgierskiej dynastii ● najniższa część statku. G. na trzy czwarte ● przepływa przez Saragossę. H. z dużym ekranem ● powoduje powódź ● złośliwy chwast. I. miłośnik piękna ● siłacz. J. zmiana miejsca w przestrzeni ● przyprawione surowe mięso mielone ● wyżeł lub kundel. K. wspólnie z Kastylią utworzyła królestwo Hiszpanii ● cichy płacz dziecka. M. dyscyplina ● konserwatywny szlachcic polski ● przedstawicielstwo.

Pionowo: 1. busola ● chrząszcz szkodnik drzewostanów. 3. część miasta. 4. pokrywa dziurę w skarpetce ● dopływ Dunaju w CSRS. 6. mocne piwo angielskie ● przejście na wyższe stanowisko ● ptak hodowlany. 8. przeszkoleni na zachodzie i zrzuceni w kraju do dyspozycji AK żołnierze do zadań specjalnych. 10. organ KC KPZR ● stado dzików lub wilków. 12. stamtąd pochodził Herostrates ● poeta — geograf polski ● masa ludzi. 14. ze Spychowa ● dźwięk maszyny w ruchu. 16. wytwarza w małym warsztacie. 18. wymarły nielatający ptak Nowej Zelandii ● ruch dookoła osi ● jednostka pracy. 20. ojciec Antygony ● pismo literackie w latach międzywojennych. 21. mierzy się je w amperach. 23. rzeka wpadająca do Kamy i dawna nazwa miasta nad nią ● neutralizuje się z kwasem.

SZYFR

A1, D23, C15 /A4, E8, J3, C6/ K15, J21, M19, C3, D12, B23, I6, M7 /D8, G12/I18, M5 /A14, I17, I6, M14/ H10, B16, K17, M20, G19, A3, F4 /C17, L12, A13, E17/ A23, D11, C12, F14, F20, K20, H13, A17 /M21, L20/ J12, E16 /M22, A12, F1, I7/ M4, K16, E21, H14, B1, G3, K5.

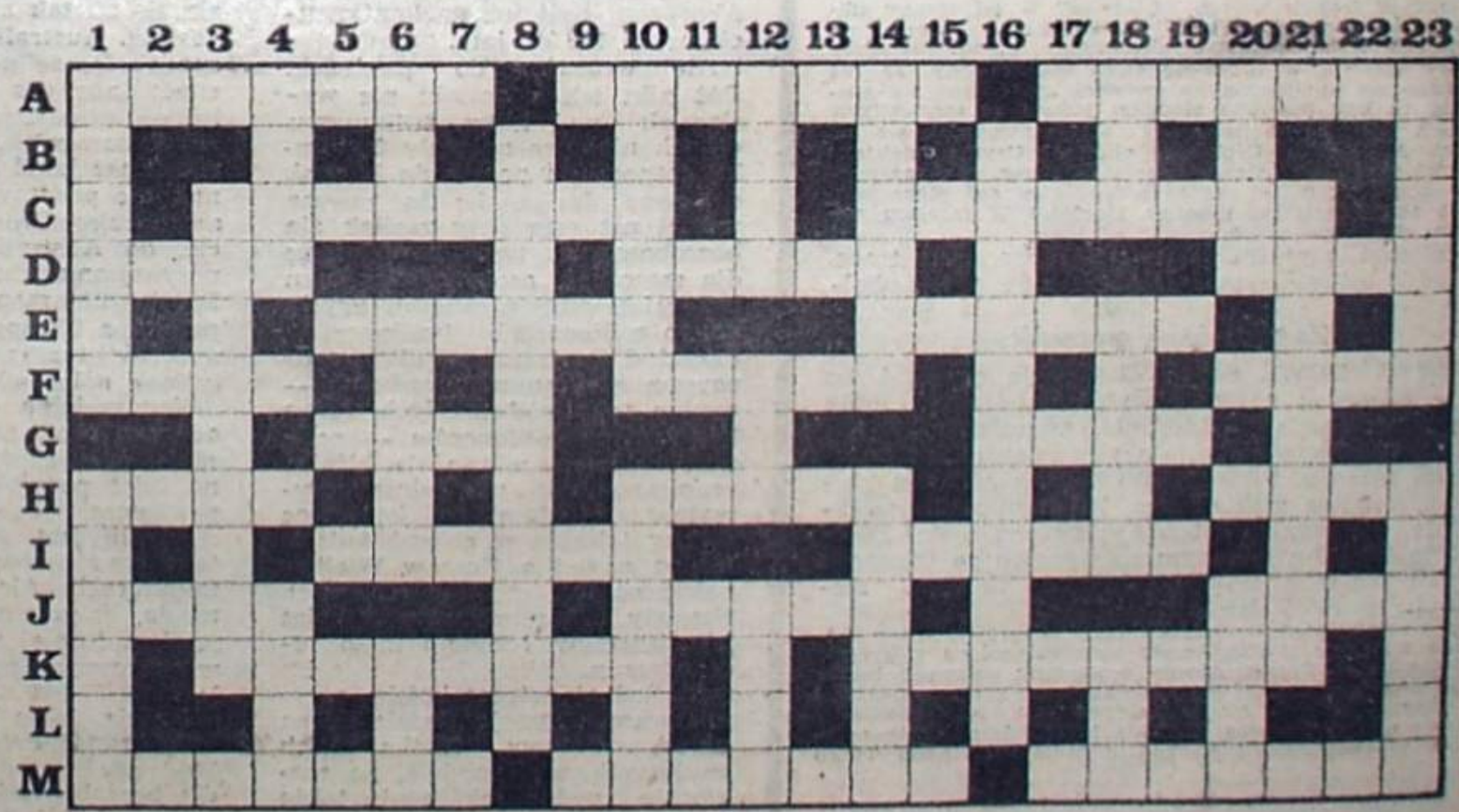

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 8 Z SZYFREM

Poziomo: Jastrzębiec, Lenartowicz, zero, multimilioner, brom, karawan, tapczan, Spartak, Kostroma, pięść, Lubartów, drabina, brakarz, pietyzm, Teby, kontrasygnata, ruch, konkurentka, Kapuściński.

Pionowo: język, dotyk, Rosja, Teofil, byk, [illegible] nik, bila, jad, Anin, skipa, Ruryk, plisa, piec, kosa, Zośka, Elida, Rugia, Arno, Ulm, tabu, republika, wybór, Toruń, Tatry, zamek, Mahdi.

Szyfr

... dajcież posłuch ludziom, którzy lepiej by zrobili, gdyby tańczyli poloneza, zamiast mieszać się w sprawy kraju.

Napoleon do Marii Walewskiej

Marian Brandys

KŁOPOTY Z PANIĄ WALEWSKĄ

Nagrodę wylosował Stefan Gwizdek, os. Orła Białego 8 a m. 9, 82-200 Gniezno.